

Powiat



Nr 3-4 (205-206), Marzec-Kwiecień 2018

Rok XVIII * ISSN 1730-7686

facebook.com/morskipowiatslupski

SLUPSKI

Ring polityczny

Mury żyją dłużej

Jest taki uniwersytet

Nowy obiekt teatru

Artystka wszechstronna

LAN Party w rolniczaku

Kontrowersyjny serial

Księga przeznaczenia

Prawa konsumenta

Wieś Tworząca



51. TARGI OGRODNICZE „WIOSNA 2018”

SŁUPSK, KWIECIEŃ 2018





**ZDZISŁAW
KOŁODZIEJSKI**
Starosta Słupski

Powiat



SŁUPSKI

Drodzy Czytelnicy!

Wydział Komunikacji w starostwie od kilku miesięcy jest bardziej oblegany przez interesantów niż zazwyczaj. Dla mnie jako kierownika jednostki sprawna obsługa w tym wydziale jest sprawą bardzo ważną. Zastanawiać może, co jest powodem dłuższych kolejek i wydłużonego oczekiwania na załatwienie spraw?

Wydaje się, że częściej niż to miało miejsce jeszcze kilka lat temu decydujemy się na zmianę auta. Zresztą dzisiaj samochód

jest już prawie w każdej rodzinie, często są to dwa auta lub więcej. Ponadto w listopadzie 2017 roku uruchomiona została nowa wersja Centralnej Ewidencji Pojazdów. „Ulepszony” program zamiast pomóc spowodował duże problemy dla urzędników.

Zmiany w systemie rejestracji pojazdów miały zwiększyć zakres informacji w Centralnej Ewidencji Pojazdów i pozwolić na uzyskanie wyższej jakości danych, m.in. na temat obrotu pojazdami

na rynku wtórnym. Okazało się, że w całym kraju wystąpiły problemy, które spowodowały, że rejestracja pojazdów wydłużyła się nawet kilkukrotnie.

Żeby usprawnić obsługę mieszkańców stworzyliśmy dwa punkty zamiejscowe, w których mogą oni rejestrować pojazdy. Na mocy odpowiednich porozumień mieszkańcy gminy Kępice mogą je rejestrować w Urzędzie Miejskim w Kępicach, a mieszkańcy Ustki i gminy Ustka w Urzędzie Miasta w Ustce. Rozwiązanie to

ułatwiło dostęp do usługi i trochę przyczyniło się do skrócenia kolejek.

Jednak wzrost liczby dokonywanych czynności jest na tyle duży, że potrzebne są dalsze usprawnienia. Dlatego podczas najbliższego posiedzenia Związku Powiatów Polskich będę rozmawiał ze starostami i podpytywał, jak oni poradzi sobie z obsługą w wydziałach komunikacji. Może jakieś pomysły będzie można przenieść do naszego wydziału.

W numerze:

- 2 Zmiany w składzie Zarządu i przyjęte sprawozdania
- 2 Pieniądze na drogi
- 3 Turniej gospodyń wiejskich
- 3 Wystawa rzeźby i rysunków
- 4 Stypendia i nagrody
- 4 Zdrowie dzieci i młodzieży
- 5 Wielkanoc na Pomorzu
- 5 Konkurs poezji śpiewanej
- 5 Stypendia kulturalne
- 6 Ring polityczny
- 8 Mury żyją dłużej



Janina siada czasem na ławeczce przed domem i myśli o swoim życiu. Nawet porozmawiać nie ma z kim, bo rówieśnicy pomarli.

- 10 Kurpie, ukochana Puszcza Biała
 - 12 Jest taki Uniwersytet
- Niespodzianki są jak sól, dodają życiu smaku,



potrzebne są szczególnie, gdy wokół szaro; ni jesienią, ni zimą.

- 15 Pochwały godne dziewczęta w bieli
- 16 Wielkanocna symbolika

- 17 Gerard Treder w „Encyklopedii osobowości RP”



W grudniu, przed Bożym Narodzeniem czytelnicy „Powiatu Słupskiego” otrzymają pierwszy egzemplarz „Encyklopedii osobowości RP”, w której znajdzie się sylwetka malarza Gerarda Tredera ze Słupska

- 19 Nowy obiekt teatru już w 2020 roku



Na zaproszenie Dominika Nowaka, dyrektora Teatru im. Witkacego oglądam w jego gabinecie projekty nowego obiektu, ich wizualizację i zapoznaję się z harmonogramem budowy kulturalnego kwartału w mieście.

- 20 Legenda o herbie Głównicy
- 21 Pampuchy czekają
- 24 Artystka wszechstronna



Artystyczna droga Wandy Botter nie była ustana różami. W młodych latach walczyła o przetrwanie, a w dorosłym życiu –

- zapewnienie egzystencji założonej rodzinie.

- 27 GamingRoom i LAN Party w rolniczaku



Powiatowy Zespół Szkół Agrotechnicznych im. Władysława Reymonta w Słupsku ma nową pracownię do gier komputerowych. Powstała dzięki wsparciu marki gamingowej Genesis.

- 28 Artyści polscy w Monachium
- 30 Kontrowersyjny serial



Nowa produkcja Telewizji Polskiej pt. „Korona królów” wzbudziła żywiołową dyskusję wśród odbiorców serialu i krytyki.

- 32 Księga przeznaczenia

- 33 „Banany i cytrusy, czyli leć do Afryki”



Otrzymałem już drugą książkę Artura Malka. Jej autor to mój ambitny uczeń, absolwent Technikum Leśnego w Warcinie.

- 36 Dzieje ostatnich władców



Zmęczony wielomiesięcznym studiowaniem dostępnych mi źródeł nie przypuszczałem, że nie minie miesiąc, a zabiorę się za pozostałych słupskich Gryfów.

- 40 Prawa konsumenta – wydanie towaru

Zmiany w składzie Zarządu i przyjęte sprawozdania

Rada Powiatu Słupskiego na marcowej sesji przyjęła rezygnację radnego Jana Leończuka z pełnienia obowiązków członka Zarządu Powiatu i w jego miejsce wybrała radną Annę Pietrzak, która wcześniej zrezygnowała z prac w Komisji Rewizyjnej. W jej miejsce na przewodniczącego komisji wybrano radnego Marka Kottuna.

Rezygnacja J. Leończuka z członka Zarządu Powiatu spowodowana była rozpoczęciem przez niego działalności gospodarczej, a to uniemożliwia pełnienie funkcji publicznej. Natomiast pozostałe zmiany personalne były już konsekwencją tej decyzji.

Wcześniej rada przyjęła roczne sprawozdania: z działalności Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie, realizacji programu działań na rzecz osób niepełnosprawnych w powiecie słupskim na lata 2016 - 2018, z realizacji zadań finansowanych ze środków Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych z zakresu rehabilitacji



Fot. SAS

społecznej oraz ocenę zasobów pomocy społecznej. Przyjęła też sprawozdania z działalności Powiatowego Urzędu Pracy w Słupsku, realizacji zadań dotyczących rehabilitacji zawodowej i zatrudnienia osób niepełnosprawnych oraz sprawozdanie Zarządu Powiatu z funkcjonowania procedury konsultacji społecznych z mieszkańcami powiatu.

Rada podjęła uchwały w sprawie określenia zadań, na które przeznaczy się w br. środki Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych oraz przyjęła do realizacji Powiatowy Program Rozwoju Pieczy Zastępczej na lata 2018 - 2020.

Podjęte kolejne uchwały dotyczyły zwracania z gminą Ustka umów na przebudowy dróg

powiatowych: nr 1112G Ustka - Gąbino, nr 1105G na odcinku Krężółki - Starkowo i nr 1102G na odcinku Modła - Modlinek, a z gminą Głowczycze na przebudowę drogi powiatowej nr 1139G w ciągu ulicy Słupskiej w Głowczycach.

Rada dokonała zmian w budżecie powiatu na 2018 rok i w Wieloletniej Prognozie Finansowej. (z)

Pieniądze na drogi

W Pomorskim Urzędzie Wojewódzkim w Gdańsku podpisane zostały umowy na dofinansowanie modernizacji dróg gminnych i powiatowych. Powiat słupski otrzymał 3 mln zł dotacji na dofinansowanie przebudowy drogi nr 1019G na odcinku Głębino - Kusowo.

Prawie 44 miliony w tej edycji programu, dodatkowe 27 milionów, które otrzymaliśmy na wsparcie drogowej infrastruktury lokalnej - to odpowiedź rządu na bolączki samorządów, czyli remonty dróg lokalnych - podkreślił Dariusz Drelich - wojewoda pomorski



Fot. Pomorski Urząd Wojewódzki w Gdańsku

28 marca podczas uroczystości podpisywania z przedstawicielami samorządów umów na dofinansowanie modernizacji dróg w ramach rządowego programu rozwoju gminnej i powiatowej infrastruktury drogowej.

Umowy podpisano na 24 inwestycje o łącznej wartości ponad 98 mln zł. Dofinansowanie z rządowego programu to ok. 43 mln zł, które pozwolą na zmodernizowanie ok. 74 km dróg w Pomorskiem, w tym 19 km dróg gminnych i 55,3 km dróg powiatowych.

Jest to dziesiąty rok realizacji rządowego programu, do tej pory w jego ramach udało się wykonać 275 inwestycji (wyremontować ok. 972 km dróg), a suma dofinansowania zamknęła się kwotą ponad 391 mln zł. (U.W.)

Turniej gospodyń wiejskich

Koło Gospodyń Wiejskich z Rowów wygrało XIII Powiatowy Turniej Kół Gospodyń Wiejskich, otrzymało w nagrodę od starosty słupskiego trzy tysiące złotych i prawo do reprezentowania powiatu słupskiego na wojewódzkim turnieju KGW w Żukowie.

Turniej odbył się 24 lutego w Jezierzycach. Wzięły w nim udział koła z Kukowa, Jezierzyc, Rowów, Kępic i Biesowic. Rywalizowały w pięciu konkurencjach: kulinarnej - na wielkanocny mazurek oraz pisanek, edukacyjnej „Nasi bracia mniejsi”, polegającej na przygotowaniu tablicy o okre-

ślonych wymiarach, związanej z modą - na „Deszczową kreację”, wokalne - na piosenkę kabaretową połączoną z inscenizacją pt. „Warto było i/lub Mega babki to my” oraz tanecznej - na dowolny taniec.

W pierwszej konkurencji zwyciężyło KGW z Kukowa, drugiej - KGW z Kępic, trzeciej i piątej KGW z Rowów, a czwar-

tej - KGW z Jezierzyc. Uczestniczki zaskoczyły nie tylko dobrą kuchnią, ale także ciekawymi pomysłami i poczuciem humoru w poszczególnych konkurencjach prezentowanych na scenie.

W przerwie zaprezentowały się panie z KGW w Łebieniu z gminy Damnica, które w ubiegłym roku wygrały turniej, zdobywając Grand Prix i nagrodę starosty słupskiego. Regulamin turnieju nie pozwalał im w tym roku konkurować na równi z innymi kołami.

Uroczyste otworzyli turniej jego główni organizatorzy: Barbara Dykier - wójt gminy Słupsk, Zdzisław Kołodziej - starosta słupski i Wiesław Ziegert - dyrektor słupskiego oddziału Pomorskiego Ośrodka Doradztwa Rolniczego.

Laureatki poszczególnych konkurencji otrzymały nagrody rzeczowe, a zdobywca Grand Prix - KGW z Rowów nagrodę pieniężną starosty słupskiego. (A.K.)



Fot. SAS

Wystawa rzeźby i rysunków

W Galerii Sztuki Ludowej Powiatu Słupskiego można oglądać wystawę prac plastycznych Czesława Kowalczyka ze Słupska, od kilku lat współpracującego z powiatem słupskim.

Artysta pierwszy kontakt ze sztuką miał w sanatoryjnej szkole, w której przebywał przez dziewięć miesięcy. Wówczas to zainteresował się glinianymi formami wypalnymi przez nauczyciela geografii i plastyki. To on zaszczerpił w nim patrzeć na sztukę. Pierwsze jego formy drewniane powstały, gdy miał siedemnaście lat i od tego czasu sam, bo jest samoukiem, kształtuje swoją artystyczną osobowość.

Właściwie to, co umie zaobserwować i podglądaniu innych artystów. W 2010 roku, poza rzeźbieniem, rysowaniem i wykonywaniem wyrobów z masy solnej, zajął się jeszcze pisaniami wierszy i prozy, co kontynuuje do dzisiaj, umiesz-

czając je na łamach Powiatu Słupskiego i Wsi Tworzącej. Należy do działającej przy słupskim starostwie grupy „Wtorkowe Spotkania Literackie”.

Z zawodu jest kierowcą mechanikiem. Rzeźbił zawsze tylko dla siebie i cieszyło go, kiedy mógł swoje prace ofiarować ko-

muś w prezencie, rzadziej udawało mu się je sprzedać. Nigdy nie zastanawia się, gdzie trafią. Ważne, że cieszą nie tylko jego oko, a znajdują się już w kilkunastu miejscach w Polsce, w Niemczech, Anglii i Irlandii. Nie przywiązuje do tego wagi. Liczy się dla niego tylko sam proces tworzenia. Nie ma prawdziwej pracowni, dlatego więk-

szość prac wykonuje w altanie na działce, a zimą z warsztatem przenosi się do piwnicy.

Na wystawie w słupskim starostwie można podziwiać drewniane rzeźby oraz płaskorzeźby, obrazy, rysunki o różnorodnej tematyce, a także wyroby z masy solnej. Na otwarciu ekspozycji autor pochwalił się też swoimi wierszami. (CER)



Fot. SAS

Stypendia i nagrody

Starosta słupski Zdzisław Kołodziejowski i wicestarosta Rafał Konon wręczyli uczniom ponadgimnazjalnych szkół powiatowych stypendia za bardzo dobre wyniki egzaminu zawodowego, a uczennicy szkoły specjalnej – za osiągnięcia edukacyjne i artystyczne. Wręczyli też nagrody i stypendia sportowe.

Uroczystość wręczenia stypendiów odbyła się 8 marca. Stypendia za bardzo dobry wynik egzaminu zawodowego odebrało 34 uczniów Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce oraz Zespołu Szkół Agrotechnicznych w Słupsku (K. Bartos, D. Bednarek, I. Bronka, K. Gieresz, I. Główczeńska, T. Jonatowski, D. Małecka, M. Pacek, B. Rzepiński, K. Sztandera, D. Winiarska, K. Pek, M. Kuczyńska, K. Belt, N. Brzozowski, K.

Dudek, P. Granda, K. Gzowska, K. Ksel, M. Moskwa, M. Pawlak, D. Ropalska, O. Kopicki, D. Chilońska, W. Januszkiewicz, A. Stawicka, M. Capar, K. Dygulska, K. Kin, D. Kupisińska, N. Maciejko, M. Maciejczyk, A. Mleczyk, J. Radziwiłowicz).

Za osiągnięcia edukacyjne i artystyczne po pierwszym semestrze nauki przyznano tylko jedno stypendium, otrzymała je Klaudia Owsiana ze Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego im. Marynarza Polskiego w Damnicy.

Nagrody Starosty Słupskiego za wyniki sportowe w 2017 roku, otrzymało 12 zawodniczek i zawodników (A. Karpuk,

M. Witek, P. Borowiec, P. Błaszczuk, S. Wysokiński, M. Pazda-Pozorska, M. Szramiak, K. Maruszewska, K. Aniszewski, A. Kulak, S. Wojdziak, M. Mencfel) i czterech trenerów (M. Witek, H. Michalski, L. Kuklińska-Nurkowska, A. Hadziewicz).

Natomiast okresowe stypendia sportowe otrzymało 9 zawodniczek i zawodników z powiatu słupskiego (A. Karpuk, P. Błaszczuk, S. Wysokiński, K. Maruszewska, A. Kordoński, K. Aniszewski, A. Kulak, M. Mencfel, K. Sztylka). (DS.)



Fot. SAS

Zdrowie dzieci i młodzieży

„Słowa ranią. Powiedz NIE mowie nienawiści” to temat XIII Konferencji z cyklu „Zdrowie dzieci i młodzieży” zorganizowanej w Akademii Pomorskiej w Słupsku.

Konferencja odbyła się 21 marca i wzięło w niej udział ok. 180 dyrektorów szkół, nauczycieli, pedagogów, pielęgniarek szkolnych oraz pracowników samorządowych zaangażowanych w pracę z dziećmi i młodzieżą.

Nowe technologie dają nam duże możliwości a jednocześnie powodują, że zachowania dyskryminujące i krzywdzące innych stały się codziennością. Tego przyczyną jest m.in. anonimowość w sieci, chociaż nie tylko ona. Często stawiamy sobie pytanie: dlaczego fakt bycia anonimowym wyzwala w ludziach takie instynkty?

Właśnie tym zagadnieniom poświęcona była konferencja zorganizowana przez Ośrodek



Fot. SAS

Doskonalenia Nauczycieli, Starostwo Powiatowe i Akademię Pomorską w Słupsku. Szczególnie interesujące okazały się wystąpienia dotyczące cyberprzemocy dr. Macieja Dębskiego z Uniwersytetu Gdańskiego i Agnieszki Taper z Centrum Profilaktyki Społecznej w Malinówku.

Na temat tajemnic wirtualnych młodzieży, (nie)wiedzy

o rzeczywistości wychowawczej mówił dr Paweł Kozłowski z Akademii Pomorskiej w Słupsku. Z kolei w dyskusyjnym panelu poświęconym przeciwdziałaniu mowie nienawiści wzięli udział: dr Sebastian Zdończyk - psycholog i seksuolog oraz Maciej Maraszkiewicz - socjolog z Akademii Pomorskiej w Słupsku, Renata Kłosowska - peda-

gog z Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli w Słupsku, Iwona Wojtkiewicz - dyrektorka Zespołu Szkół Agrotechnicznych im. Władysława Reymonta w Słupsku, Sebastian Witasik - uczeń Zespołu Szkół Budowlanych i Kształcenia Ustawicznego w Słupsku i podkomisarz Jacek Pardo z Komendy Miejskiej Policji w Słupsku. (LP.)

Wielkanoc na Pomorzu

W Szkole Podstawowej im. Jana Kochanowskiego w Kończewie rozstrzygnięto wojewódzki konkurs plastyczny „Wielkanoc na Pomorzu”. Napłynęło 1600 prac ze 130 szkół podstawowych i gimnazjów.

Konkurs odbywa się w kategoriach: najładniejsza pisanek, palma, kartka i stroik wielkanocny. Służy poznaniu przez dzieci i młodzież szkolną tradycji różnych kultur wystę-

pujących na Pomorzu, kultywowaniu zwyczajów wielkanocnych, rozbudzaniu wyobraźni i fantazji twórczej. Zachęca też do poznania różnych technik plastycznych.

Laureaci uhonorowani zostali dyplomami i nagrodami rzeczowymi.

W Szkole Podstawowej w Kończewie można oglądać bogatą ekspozycję prac pokonkursowych, a jej część także w Starostwie Powiatowym w Słupsku. (CER)



Fot. CER



Fot. SAS

Stypendia kulturalne

Starosta słupski Zdzisław Kłodziejski wręczył stypendia osobom zajmującym się twórczością artystyczną, upowszechnianiem i ochroną dóbr kultury.

Roczne stypendia w wysokości 3600 złotych otrzymali: Katarzyna Bartosiewicz ze Słupska - na opracowanie katalogu pt. „Nowożytnie zabytki sztuki protestanckiej z terenu powiatu słupskiego”, Grzegorz Gurlacz z Damnicy - na wydanie płyty „Tu i teraz” Kapeli z

Gminy Damnica i Marta Fitowska z Potęgową - na wydanie i promowanie debiutanckiej płyty MOA. Natomiast stypendia półroczne w wysokości 1800 zł otrzymali - Zenon Frąckiewicz z Łupin - na stacjonarne warsztaty rzeźbiarskie i Bogumiła Skomoroko ze Słupska - na wydanie autorskiego tomiku poezji pt. „Dotyk”.

22 marca stypendia odebrali tylko: Katarzyna Bartosiewicz, Grzegorz Gurlacz i Zenon Frąckiewicz. Pozostali stypendyści nie mogli tego dnia przybyć do starostwa, dlatego stypendia zostaną im wręczone w innym terminie. (M.W.)

Konkurs poezji śpiewanej

Michał Idźkowski z Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce zdobył „Bursztynową Nutkę” - nagrodę publiczności na III Usteckim Konkursie Poezji Śpiewanej „Bursztynowe Nuty Poezji”.

Konkurs odbył się 22 marca w auli Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce. W tym roku, podobnie jak w latach ubiegłych, spotkał się z dużym zainteresowaniem uczniów starszych klas szkół podstawowych, gimnazjów oraz szkół ponadgimnazjalnych. Wielu uczestników wykazało się nie tylko talentem wokalnym, ale także umiejętnością gry na instrumen-

tach oraz talentem aktorskim. Oprócz utworów z repertuaru czołowych twórców poezji śpiewanej - Magdy Umer, Marka Grechuty, Ewy Demarczyk, śpiewano też teksty Adama Mickiewicza i Juliusza Słowackiego w nowych, zaskakujących aranżacjach.

Wśród najmłodszych uczestników konkursu nagrodzono Natalię Łepkowską ze Szkoły Podstawowej nr 1 w Ustce, Roksanę Garbolińską ze Szkoły Podstawowej w Zaleskich oraz Marię Majchrzak ze Szkoły Podstawowej nr 1 w Ustce. W kategorii klas gimnazjalnych i klas VII szkoły podstawowej pierwsze miejsce zdobyła Karolina Guzowska z Gimnazjum w Ustce, drugie - Joanna Płatwa z

Gimnazjum w Objeździe, a trzecie - Klaudia Kozakiewicz ze Społecznego Gimnazjum UTO w Ustce.

W kategorii szkół ponadgimnazjalnych zwyciężyła Julia Nawacka z V Liceum Ogólnokształcącego w Słupsku, przed duetem Pauliną Łagą i Ringo Todovovićiem z tego samego liceum i Piotrem Kamińskim z I Liceum Ogólnokształcącego w

Słupsku. Przyznano także dwa wyróżnienia: dla Julii Meldner z VII klasy Szkoły Podstawowej nr 2 w Ustce i Dominice Prandze z Zespołu Szkół Mechanicznych i Logistycznych w Słupsku.

Nagrody utalentowanym laureatom konkursu wręczyli Zdzisław Kołodziejski - starosta słupski i Jacek Graczyk - burmistrz Ustki. (ZS)



Fot. ZSOiU Ustka

Ring polityczny

My, Polacy lubimy groteskę, my nie wyrośliśmy z granic podwórka, nam Europa szkodzi, wręcz przeszkadza. My swój nacjonalizm chcemy obudowywać porządnym płotem, może murem nawet.

Ring polityczny pomiędzy partią rządzącą i totalną opozycją jest o tyle odmienny od prawdziwego ringu sportowego, że wszystkie chwytaki są w nim dozwolone. TVP1 już od miesiący prowadzi nagonkę medialną na opozycję, w tym zwłaszcza na poprzednią ekipę rządzącą, zarzucając jej liczne przekręty finansowe, nadużycia w sferze podziału wspólnego majątku narodowego, pazerność na władzę i pieniądze, nieuczciwe dysponowanie mieniem społecznym, et cetera, et cetera.

Znamy wszyscy nagonki medialne na byłego ministra w rządzie PO Nowaka, który musiał opuścić urząd za to, że nie wpisał do deklaracji podatkowej zegarka. Nagonki na byłego lidera KOD. Liczne i głośne nagonki na sędziów, którzy... bądź to ukradli kawałek kielbasy, bądź wzięli jakąś łapówkę itp., itp.

O nieuczciwości poprzedniej władzy głośno krzyczeli zwolennicy „dobrej zmiany”, nie wyłączając jej najwyższych przedstawicieli, w tym jeszcze podczas kampanii wyborczej szermującego hasłami sprawiedliwości społecznej prezesa PiS i kandydata na prezydenta, a później pani premier.

Jest takie przysłowisko: „Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie”. Dwa lata wystarczyło, by wyborcy mogli się przekonać, jak dalece rzeczywiste to były intencje, i jak fałszywie dzisiaj brzmią te wypowiedziane kiedyś slogany, hasła, obietnice, czy zarzuty kierowane wobec swoich poprzedników, wobec innych.

Od początku marca w telewizyjnych programach TVN codziennie aż wręcz od medialnych doniesień na temat nieuczciwości ludzi „dobrej zmiany”, na temat ich majątków, pazerności i kłamliwego przekazu, którym kiedyś kupowali sobie wyborców. Dowiadujemy się z nich m.in. że PiS, w tym osobiście jej prezes, zarządza ogromnym majątkiem w Warszawie (Srebrna), który wykorzystywano do realizacji wcześniej-

szych celów politycznych. Że była pani premier przyznała sobie na odchodne wysoką nagrodę finansową. Że nowy premier - nawykły do dysponowania olbrzymim majątkiem bankowym, pochodzącym w większości jak wiadomo ze skromnych oszczędności drobnych ciulaczy - teraz sówicie rozdziela nagrody i premie wśród swoich ministrów i rozbudowanej do granic wytrzymałości rządowej administracji. Nagrody dostali nawet ci, których zasługi budzą powszechne wątpliwości, ponieważ odeszli z rządu za to, że byli zbyt mało sprawni.

Sam pan premier, co do majątności którego nikt przecież nie miał wątpliwości, korzysta z kruczków prawnych, przepisując część majątku na żonę, w celach?... No właśnie. Po co? Można się tylko domyslać, przy czym domysły te medialnie wcale mu nie służą, wręcz przeciwnie, pozwalają do zadawania kolejnych bokserkich ciosów.

Rozgłaszany skok na kasę - wywołuje nie tylko oburzenie mediów, ale i nasilenie złych emocji w tym temacie. Dziennikarze doszukują się innych przekrętów i kombinacji w sferze gospodarowania publicznymi pieniędzmi, i znajdują, dowodząc, że premierowi nie udało się z przysłowiowego Murgrabiego zamienić w Janosika.

Tak, ale to tylko podwórko. Własne, zaściankowe podwórko, z którego wbrew wcześniejszym obietnicom i pomówieniom wobec poprzedników, także i tej kolejnej - lepszej rzekomo zmianie - nie udaje się wyjść.

Oczywiście że mężowie stanu muszą znać się na wszystkim, zwłaszcza na dyplomacji. Na świecie takich mężów stanu właśnie się wybiera. Na świecie tak, u nas nie. My, Polacy lubimy groteskę, my nie wyrośliśmy z granic podwórka, nam Europa szkodzi, wręcz przeszkadza. My swój nacjonalizm chcemy obudowywać porządnym płotem, może murem nawet.

Pośpiesznie konstruowane ustawy, na użytek populistycznych treści zdobywania wyborców, roją się od licznych błędów i ślepych zaułków. Nawet tak szeroko, najgłośniejszy wykorzystywana propagandowo ustawa, jak „500+” okazała się wadliwa, uderza w tysiące rodzin, które z niej skorzystały. Dzieje się tak, bo nie sprecyzowano do końca jej reguł finansowych, które - jak się okazało - w wielu przypadkach pozostają w sprzeczności z przepisami podatkowymi. Rodziny muszą zwracać do urzędów skarbowych wcześniej pobrane świadczenia.

Walka w ringu trwa. Przy czym ostatnio to już nie tylko wymiana ciosów, to niemal uderzenia na szcękę. Także uderzenia poniżej pasa, do których dochodzi tylko dlatego, że przeciwnik nie trzyma gardy, odsłania się niebezpiecznie, ułatwiając atakującemu zadawanie kolejnych ciosów.

Bardzo niebezpiecznym ciosem był ten niedawny spowodowany ustawą o holokauście. Oberwało się boleśnie samemu prezydentowi, oberwało się premierowi, ale to nie wszystko. Taka wolna amerykanka z udziałem najwyższych osób w państwie szkodzi już nie tylko im samym, szkodzi Polakom. Taki ring polityczny łatwo może się przenieść poza wyznaczone miejsce starcia. I tak się zresztą w tym przypadku dzieje.

Duma narodu żydowskiego to coś więcej niż zarozumiałość Polaków. Poczucie krzywdy, jakiej doznali podczas niemieckiej okupacji Żydzi, to trauma na pokolenia. Nie da jej się regulować żadną ustawą.

Nie da się również ustawami regulować i zmieniać naszej historii. Całe nieszczęście nas Polaków polega na tym, że w kraju nie mamy obecnie elit politycznych, niezwykle trudno jest zostać politykiem z prawdziwego zdarzenia, to znaczy takim, który miałby odpowiednie wykształcenie, nie miał przeszłości związanej z poprzednim okresem historycznym, a na dodatek był altruistą - społecznikiem, patriotą z krwi i kości.

I znów nawiązując do ringu, czy chociażby nawet walki na boisku piłkarskim, przecież wszystkim wiadomo, że zastąpienie boksera, czy piłkarza zawodnikiem spoza branży - biegaczem, pływakiem, kolarzem... - nie ma najmniejszego sensu. Ka-

dy od razu powie: nie ta branża! O co chodzi?

A w naszej polityce tak niestety się dzieje. Ludzie prą do niej nie dlatego, że się na tym znają, ale dlatego, żeby się urządzić. O takich ustawach, by to zmienić dobierając do polityki ludzi według klucza fachowości, nikt jednak w rządzie nie myśli. Byłyby przecież ustawami przeciwko sobie. Ba, śmiem twierdzić, że to dlatego nawet dostosowuje się prawo i inne przepisy, by akceptować taki ułomny, nieporadny i wręcz szkodliwy stan posiadania. Dlatego zamiast jednego ministra potrzebnych jest dwóch, trzech. Zamiast dwóch wiceministrów - aż kilku...

Prezydent prawnik, którego zresztą wartości fachowe w tym zakresie i tak już zostały podważone, wypowiada się na tematy historyczne. Premier ekonomista, też nagle złapał wiatr w żagle historii i na 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości usiłuje kreować nowe kierunki zmian historycznych.

Obaj wypowiadają się publicznie na tematy, na których najwyraźniej się nie znają. Dochodzi do żenady, oburzają się profesorowie, a zagranica się śmieje i protestuje. Mało tego - tworzy się kolejny ring polityczny pomiędzy Polską i światem. W me-

diach publicznych, telewizji, prasie, o Polsce mówi się na okrągło. O tym, że prezydent porównał 123 lata zaborów z Unią Europejską, że polski premier uhonorował żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej, która walczyła razem z Niemcami, że oczernia Żydów za rzekomy udział w holokauście, że odkłamuje historię przypisując zasługi w jej tworzeniu tym, co teraz rządzą, zamazując prawdy o tych, którzy byli jej autentycznymi autorami.

Nadal otwartą pozostaje walka w ringu na arenie międzynarodowej o polskie sądownictwo i demokratyczne zasady prawne. Unia Europejska oczekiwała zwrotu w postaci wycofania się z niekonstytucyjnych reform prawnych, a my jej co? Zawieźliśmy propagandową zszywkę artykułów o tym, dlaczego to zrobiliśmy. Stek bzdurnych tłumaczeń i przekonywań o tym, że - jak zwykle - to PiS ma rację.

Osobiście przewiduję, że to starcie nie będzie liczone na punkty, do zasadniczego w nim zwarcia jednak dojdzie.

Do zasadniczego zwarcia zapewne również dojdzie w kwestiach ustawy o holokauście. Słania się w ringowej walce o nią nasz prezydent, przynajmniej na etapie jej two-

żenia doszło do jakichś tam błędów, ale poddać się nie chce, czeka na nokaut ze strony przeciwnika. A przeciwnik - klasa światowa: Żydzi i Amerykanie.

Nieporadność polskiego rządu zaczyna ośmieszać nas Polaków na całym świecie. Pojawiają się już pierwsze przypadki braku zaufania wobec polskich sądów. Irlandia odmówiła ekstradycji Polaka oskarżonego o przemyt narkotyków, w obawie, że w Polsce zostanie osądzony niezgodnie z prawem europejskim.

Walka o KRS, ostatnia runda walki o sądy - pokazuje niezwykle dobitnie, jak polski wymiar prawny uzależnia się od polityków PiS.

No cóż, kto lubi boks, ten ma co oglądać. Ja nie jestem pasjonatem tego sportu, wolę już zamiast okładania się pięściami, walkę na argumenty, na słowa. Lubię brać wszystko zdroworozsądkowo. Że tak się nie dzieje w moim kraju ostatnio, ubolewam i dlatego o tym piszę. Ubolewam, że desperacja rządzących pcha nas w kierunku narożnika, w którym nie tylko partię rządzącą może czekać kolejny bokserski nokaut, ale i nam może się niepotrzebnie i niezasłużenie oberwać.

Jan Stanisław Smalewski
Bąkowo



Nawet nie wiem od czego zacząć, tyle tu wątków, splątanych losów, historycznych faktów i zaszłości. Może tak: w Objeździe w centrum wsi, tuż przy ulicy, bo wieś posadowiona jest na planie ulicówki, stoi jedna z dwóch - okazała stodoła bramna z czerwonej cegły, pokryta cementową dachówką, z przesuwными drewnianymi wierzejami z widomymi znakami czasu.

Podobna stoi nieco dalej w kierunku Rowów z kutą datą u wierzchołka: 1907. Obie pewnie postawiono w tym samym czasie, a inwestorzy byli zasobnymi gospodarzami. W typowo rolniczej wsi prócz dużego ponad tysiącczterystahektarowego majątku Kutscherów w tym czasie były cztery gospodarstwa o znacznej powierzchni, między 20 a 100 hektarów, chociaż przeważały niewielkie, do 10 hektarów, tych było prawie siedemdziesiąt.

Stodoła oddziela obejście od ulicy, niegdyś wystarczająco szerokiej dla mijających się pojazdów konnych. Po bokach zabudowania gospodarcze, po prawej z częścią mieszkalną, prawdopodobnie wówczas dla fornała, połączoną z budynkiem gospodarczym. Po lewej, na sąsiedzkiej granicy zabudowania gospodarcze sąsiada, a w głębi rozległy parterowy budynek mieszkalny. Na środku podwórza gnojownik. Tak było przez lata, na Pomorzu i nie tylko, kiedy rolnicy wszystkich narodowości myśleli: „czcigodny gnoju, dobroczynne łajno”. (L. Staff)

Z tyłu za obejściem rozległy ogród i przydomowy sad. Świadkiem tamtego czasu jest rozrosły jesion z prawej szczytowej strony domu.

W takim kształcie obejście przetrwało dwie wojny światowe, dając świadectwo wyższości murów nad mizérią ludzkich planów i żywota. Właściciele odeszli bądź na wieczny odpoczynek, nazwiska poległych w I wojnie upamiętnia pomnik w centrum wsi - ława wotywna na wzgórzu kościelnym z ponadtrzydziestoma nazwiskami w steli, bądź w II wojnie, kiedy zginęło lub zaginęło 112 mieszkańców, a pozostałych wyrokiem z Jalty przesiedlono za Odrę między końcem roku 1946 i połową 1947.

Janina urodzona w 1921 roku w Sieradowicach pod Bodzentynem w Kieleckiem ostatnie dwa wojenne lata przeżyła jako robotnica rolna w Niemczech, najpierw w miejscowości, której nazwy nie pamięta, później w Hambach, gdzie w ostatnim czasie



Fot. Archiwum Autora

Mury żyją dłużej

Janina siada czasem na ławeczce przed domem i myśli o swoim życiu. Nawet porozmawiać nie ma z kim, bo rówieśnicy pomarli. Zostały stare budynki, ogromna bramna stodoła, po której hula wiatr. Stoi przy ulicy jak niemy świadek historii.

dokonano wycinki starego lasu, czemu sprzeciwiają się ekolodzy, a sprawa znalazła się w europejskim sądzie. Powodem takiego działania jest poszerzanie obszaru działania odkrywkowej kopalni węgla brunatnego. Ale wtedy w latach 1943 - 1945 ubiegłego wieku Janina przyjechała do Hambach za mężem i pracowała u bauera Schmitda, a stary las podziwiała pracując w polu. Prócz niej w gospodarstwie pracował jeszcze jeden Polak i Ukrainka, stanowiący parę. Mąż Janiny, Stefan, zatrudnił się był w gospodarstwie nieopodal i odwiedzał ją niemal każdego wieczoru.

Pobrali się w październiku 1939 roku. On, starszy o dziewięć lat, z miejscowości Wzdół, też w pobliżu Bodzentyna, bez mieszkania i widoków na przyszłość, poprosił matkę osiemnastoletniej panny o rękę córki. Janiny nikt nie pytał o zgodę. Matka kazała wyjść za mąż i nie było odwrotu. Nie było miejsca we wdowim domu dla czwórki dorastających dzie-

ci: Janiny, Józefy, Stefana i Bogdana. Wprawdzie podczas parcelacji uzyskali hektar lichej ziemi, ale nie zapewniało to nawet potrzeb rodziny. Nie dostali więcej, bo ojciec był kowalem, a jako mającemu zawód, więcej wziąć nie było można - tak sprawę ojcu Janiny wytłumaczył urzędnik, któremu poskarżył się na krzywdę.

Reforma rolna zainicjowana przez premiera Władysława Grabskiego, uchwalona 28 grudnia 1925 roku umożliwiała nabywanie ziemi dzięki kredytom od państwa, a właścicielom parcelowanych majątków gwarantowała zapłatę po cenach rynkowych. Janina pamięta poruszenie we wsi, sąsiedzkie targi i przekupstwo urzędników, by uzyskać lepszą splachę ziemi. Sąsiad był sprytniejszy, przejął przydzielony im kawałek ziemi w dobrym położeniu, a im przypadł pas piaszczystego zbocza, trudnego do uprawy.

Niedługo potem ojciec zmarł, Janina miała dziesięć lat i ukończone dwie klasy szkoły powszechnej. Jako

jedenastolatka pasła krowy u bogatego gospodarza, później jej się poszczęściło, bo została najęta do pilnowania dzieci w urzędniczym domu w Skarżysku Kamiennej, a kiedy trafił się kawaler, trzeba było iść za męża. Zamieszkali u matki, zięć liczył, że przejmie niewielkie gospodarstwo, ale się przeliczył. Rozgoryczony zaraz w październiku 1939 roku Stefan pojechał za pracą do Niemiec zarobić na jakiś kąt.

„W latach 1918 - 1939 ziemie polskie opuściło ponad 2 mln osób, w tym połowa na stałe. Polacy, zwłaszcza ze śląska opolskiego, rozpoczęli wyjazdy sezonowe na tzw. saksy. Nazwa pochodzi od Saksonii, gdzie Ślązacy dorabiali na polach i w gospodarstwach. Wyjazd zwykle trwał pół roku, a zarobione pieniądze pozwalały „wyrwać się” z biedy i zarobić na godziwe życie w kraju. Szacuje się, że polscy pracownicy sezonowi stanowili w Niemczech 80 procent wszystkich cudzoziemskich robotników rolnych.” Również w czasie wojny zdarzały się wyjazdy „nieprzymusowe”, ludzie szukali ratunku wobec biedy zagrażającej podstawom egzystencji.

Młoda ciężarna żona została w domu matki. Chłopczyk urodził się pod nieobecność ojca i żył tylko trzy miesiące. Janina postanowiła pojechać do męża. Napisала, by znalazł jej odpowiednie miejsce, a kiedy przyszło urzędowe zapotrzebowanie, poszła do gminy i razem z transportem robotników przymusowych pojechała. Decyzję o wyjeździe przyspieszyły straszne wypadki w nieodległym Bodzentynie. W przededniu wojny miasteczko liczyło blisko cztery tysiące mieszkańców, w tym 30 procent ludności żydowskiej. W 1934 roku na 107 punktów handlowych, 80 należało do Żydów, głównie w centrum. Z początkiem wojny wszystko się zmieniło. Wszystko, to znaczy do osobistej biedy, niedostatku i żalu po stracie dziecka doszły strach i zgroza.

Janina do końca 1943 roku widziała bądź słyszała o strasznych wypadkach. Najpierw, w 1940 Niemcy zamknęli w getcie Żydów nie tylko z Bodzentyna, zwożono ich z pobliskich miejscowości, nawet z Płocka. Już w roku 1941 było przepełnione do granic, liczba uwięzionych była bliska 3,7 tys. osób.

Wrzesień 1942 roku był ciepły, pogoda stabilna, mimo że na wschodzie już 22 września spadł śnieg, a zima 1942/1943 przyczyniła się do klęski

Niemców pod Stalingradem. W Bodzentynie i wielu innych miejscowościach okupowanej Polski we wrześniu Niemcy likwidowali getta. W sobotę 19 września o ósmej rano zegnano Żydów na Dolny Rynek. „Zaczęto bić w dzwony, a żandarmi i policja żydowska chodzili po mieście od domu do domu, gdzie mieszkali Żydzi i wypędzali nieszczęśliwych z mieszkań. Było chyba kilkunastu żandarmów. Chorych oraz starych, zniedołężniałych i dzieci członkowie ich rodzin wynosili na plecach. Razem z Żydami ze Szlubi Nowej poprowadzono wszystkich przez Wzdół Rządowy i Michniów do Suchedniowa.” - likwidację bodzentyńskiego getta opisuje Jan Fąfara.

W poniedziałek 21 września, w dniu uroczystego święta żydowskiego Jom Kipur załadowano zgromadzonych na stacji w Suchedniowie do wagonów. Zgodnie z niemieckim rozkładem jazdy nr 587 pociąg towarowy wyruszył do stacji docelowej Treblinka.

Po wojnie w Bodzentynie odnaleziono pamiątnik żydowskiego chłopca Dawida Rubinowicza (1927 - 1942), syna mleczarza z podkieleckiego Krajna, ze wspomnieniami z bodzentyńskiego getta. Dawid siedł z

Był pogodny dzień 1 czerwca 1943 roku. Kobiety pracowały w polu, Janina razem z nimi. Z oddali, od strony miasta dochodziły potężne strzały. Wieczorem cała okolica wiedziała, że na Rynek Dolny spędzono mieszkańców, wszystkich, z kobietami i dziećmi. Sprawdzano tożsamość i korzystając z donosów szpiclów, strzałami z amunicji dum dum, rozrywającej ciała olbrzymią siłą uderzenia, strzelano. Zginęło 39 osób, które zakopano w miejscu egzekucji, na rynku. Dopiero po wojnie ekshumowano szczątki i pochowano na cmentarzu. Tak Niemcy zemścili się za działalność partyzancką „leśnych” dowodzonych przez Jana Piwnika „Ponurego”.

Janina zdziwiła się, gdy już w Objeździe odwiedził ją mieszkaniac Machowinka, wsi odległej o dwa kilometry. Dowiedział się, że pochodzą z tych samych stron. Przyszedł porozmawiać o tamtych zdarzeniach, bo nie dają mu przespać spokojnie żadnej nocy.

Nie było na co czekać. Uznała, że najbezpieczniej będzie tam, na terenie Niemiec, przy mężu, gdzie względnie spokojnie można było pracować, choćby za godną strawę i bezpieczny kąt. Byli razem. Nie narzekali



Fot. Archiwum Autora

wszystkimi, rodziną i znajomymi. Zginął w 1942 roku w komorze gazowej.

Janina zna tę drogę. Jej mąż pochodził z Wzdolu, tamtędy szli niedawni sąsiedzi, znajomi z miasteczka. Nic nie mogli zrobić ani jedni, ani drudzy. Potem na poboczu drogi, w przydrożnych rowach leżały trupy dzieci, kobiet, starców, którzy zginęli podczas marszu. Obok nikomu niepotrzebne tobołki.

Kilka miesięcy później Bodzentyn był świadkiem kolejnej masakry.

na bauerów, traktowali ich po ludzku. W 1945 roku, po klęsce, to się zmieniło. Głód doskwierał wszystkim, także im. Wyjeżdżali robotnicy przymusowi, oni musieli na wyjazd mieć własne pieniądze. Wrócili do domu w Sieradowicach we wrześniu 1945 roku. Biedni, bez grosza, tak jak wyjeżdżali. W styczniu następnego roku urodził im się syn.

Szansą były Ziemie Zachodnie. Janina już nie pamięta nazw wszystkich miejscowości, w których mieszk-

kali. Może tylko na metrykach synów: Franka, Jurka, Stasia i Janka są zapisane miasta ich urodzeń. Pamięta PGR w Wojęcinie w gminie Bobolice. To tam w rozległym parku porośniętym już leśną roślinnością widoczne były fragmenty bram, schodów, tarasów i nagrobków oraz egzotycznych drzew, których nazw nawet nie знаła. Robota jak robota, długo tam nie byli, bo widoków na dobrobyt nie było. Przynieśli się do Zegrza pod Białogardem. Tam Stefan został robotnikiem leśnym. Jedna nieduża pensja na sześciuosobową rodzinę? Wciąż marzyli o własnym gospodarstwie.

W tym czasie brat Janiny, Bogdan, zamieszkał w Objeździe. Był kierowcą w kółku rolniczym i obrabiał niewielkie gospodarstwo w centrum wsi, za budynkiem poczty. Niestety, żona Bogdana nie należała do kobiet, co to trzymają trzy węgly domu, więc z gospodarowania nic nie wyszło, a i on w kółku posprzeżał się z zarządem. Może poza znalezieniem gospodarki dla siostry i szwagra. Właśnie do miasta przenieśli się kolejni, którym wydawało się, że „rolnik śpi, a w polu mu rośnie”, oddając gospodarstwo skarbowi państwa. W 1962 roku Janina i Stefan kupili to gospodarstwo za 80 tys. zł kredytu rozłożonego na trzydzieści lat. Było wszystko, co trzeba. Dom, stodoła, obora, czterech chłopaków do pomocy. Pracowali ciężko, pomaleńku dorabiając się wszystkiego: sprzętów, maszyn, inwentarza. Synowie dorastali i odchodzili na swoje, a oni wreszcie dorobili się pięciu krów, mleko oddawali do zlewni, był z tego stały, pewny dochód.

W 1989 roku zmarł Stefan. Została z najmłodszym synem, który bardziej czuł się stolarzem niż rolnikiem. Pracuje w mieście, buduje nowy dom, mają z żoną własne plany. Co się stanie ze starym domem i dużą, nikomu już niepotrzebną stodołą? Wieś się zmieniła, nikt nie zwozi siana, nie ma krów, mleko kupuje się w sklepie w kartonikach. Janina siada czasem na ławeczce przed domem i myśli o swoim życiu. Nawet porozmawiać nie ma z kim, bo rówieśnicy pomarli. Zostały stare budynki, ogromna bramna stodoła, po której hula wiatr. Stoi przy ulicy jak niemy świadek historii.

Czesława Długoszek, Objazda

Kurpie, ukochana

Zostałem zaproszony na uroczystość odsłonięcia historycznego Krzyża na mogile Powstańców Styczniowych z 1863 roku. Uroczystość związana była z rocznicą odzyskania przez Polskę niepodległości i miała szczególne znaczenie dla samorządu powiatu wyszkowskiego.

Na tej ziemi w ostępach leśnych jest wiele mogił i miejsc pamięci po powstaniach narodowych i z ostatniej, drugiej wojny światowej. Znamiennymi strzelcami kurpiowscy odznaczali się walecznością już w czasach Księstwa Warszawskiego i na przestrzeni lat w różnych kampaniach bitewnych. Kurpie to ludność zamieszkująca obszary leśne, położone na północno-wschodnim Mazowszu. Rzeką Narew dzieli Puszczę Kurpiowską na część północną - Puszczę Zieloną zwaną również Myszyniecką, ze zwartymi borami o obfitym runie i część południową - Puszczą Białą, położoną w większości na terenach wydumowych. Puszcza Zielona, to dawne królewskie tereny obejmujące dorzecze dolnej Narwi i jej dopływów; dawniej była nazywana puszcza królewska, dzisiaj to duże bogactwo regionalnego folkloru.

Kurpie południowe sięgają do Bugu, była to dawniej własność biskupów płockich. Tutaj występują przeważnie drzewostany iglaste, zwłaszcza sosnowe, a wzdłuż cieków wodnych - olszyny. Rzeki, lasy oraz bagna są bogactwem tej ziemi, a tradycyjnym zajęciem miejscowej ludności było zawsze myślistwo, zbieractwo runa leśnego, bartnictwo i smolarstwo. Rolnictwo było uprawiane ubocznie i silnie się rozwinęło dopiero w drugiej połowie XVII wieku, w wyniku napływu ludności rolniczej z Mazowsza.

Odsłonięcie na mogile powstańców krzyża odbyło się 30 stycznia w miejscu „Bitwy pod Łączką”. W dokumentach archiwalnych czytamy: „Niedaleko tego miejsca, pośród lasów i bagien jest Uroczysko „Bykow-



Fot. W. Lipczyński

ce” na terenie Puszczy Białej, tam rozbił swój obóz i urządził postój oddział powstańców styczniowych, przedzierający się w połowie maja 1863 roku po ciężkiej i krwawej bitwie pod Kietlanką. Był to oddział pułkownika Karola Fryczego. Powstańcy leczyli się z ran, uzupełniali straty i wypoczywali. Była tu duża polana pośród niedostępnych bagien w pobliżu wsi Łączka, która dawała im bezpieczne schronienie. Około 20 maja dotarł tu

Puszcza Biała



także, oddział Polikarpa Dąbkowskiego tropiony cały czas przez kolumnę carską Emanuela. 23 maja Rosjanie zaatakowali powstańców. Na początku dzielnie stawiała opór kawaleria Bronisława Deskura i zajmujący czołową pozycję strzelcy kurpiowscy. Szybko jednak powstańcy zaczęli się wycofywać pod morderczym ogniem Rosjan. Sytuację próbował ratować oddział kosynierów pod dowództwem Polikarpa Dąbkowskiego, ata-

kując piechotę rosyjską. Pod ich brawurowym atakiem Rosjanie zaczęli się nawet wycofywać. Polscy strzelcy i kosynierzy długo odpierali ataki, ale ostatecznie, wobec przygniatającej przewagi wroga, zmuszeni byli się wycofać. Przy czym jedyną drogą odwrotu stanowiły okoliczne mokradła. Wystawieni na przeważającą siłę wroga, musieli ulec. W czasie bitwy został ciężko ranny dowódca Karol Frycze i powstańcy wynieśli go ze środka zaciętej walki. Przewieziono go do wsi Poreba, gdzie zmarł 24 maja i tam został pochowany. Po utracie dowódcy powstańcy się wycofali. Walka zakończyła się klęską”.

W bitwie poległo 23 powstańców, a 11 zostało rannych. W pamięci okolicznych mieszkańców zachował się przekaz głoszący, że na mogile poległych powstańców postawiono drewniany krzyż, który przetrwał do pierwszej wojny światowej. W miejscu jego postawienia gromadzili się ludzie pod przewodnictwem księdza z Długosiodła i modlili się w intencji powstańców pokonanych przez Rosjan w okolicach Łączki. Natomiast dalsze losy krzyża nie są dokładnie znane, a na jego miejscu był umocowany mały krzyż na pobliskiej sośnie, która została wycięta przez ojca Mieczysława Grudzińskiego, który jako mały syn pomagał mu przy ścinie drzew na potrzeby budowanej stodoły w gospodarstwie. Dziś wiekowy już Mieczysław wskazał lokalizację mogiły powstańczej i przekazał wspomnienia usłyszane od swojej babki Józefiny Grudzińskiej, urodzonej w 1860 roku, która ze swoją matką i babką uczestniczyła w tych nabożeństwach przy krzyżu.

Na tablicy, która została zamocowana obok krzyża czytamy: „Forma krzyża nawiązuje do tradycji ludowej obróbki drewna w Puszczy Białej oraz oryginalnego krzyża powstańczego. Skromna ornamentyka składająca się z gałkowych zakończeń ramion oraz z ryngrafu i daty wybuchu Powstania Styczniowego - oddają intencję oraz godnie upamiętniają trud zrywu niepodległościowego”.

Krzyż ma wysokość ośmiu metrów i wykonany został z drewna dębowego, w miejscowym zakładzie

drzewnym Sebastiana Dańczyszyna. Stał w ostępach leśnych, w pobliżu wsi Łączka, niedaleko miejscowości Długosiodło, jako wyraz pamięci o tamtych wydarzeniach. Zadbało o to Stowarzyszenie Wizna 1939, mają w tym też swój udział: Adam Mróz - wicestarosta wyszkowski, redakcja TVP Historia z redaktorem Adamem Sikorskim, leśnicy Nadleśnictwa Wyszków i działacze Stowarzyszenia „Inicjatywa Białeblota”. Pomysłodawcami przywrócenia pamięci tego miejsca są Dariusz Szymanowski i Piotr Karsznia.

W Puszczy Białej, w leśnictwie Knurówiec w lasach Nadleśnictwa Wyszków pracuje mój najbardziej ambitny uczeń Andrzej Dańczyszyn - absolwent Technikum Leśnego w Warcinie. Od ponad 25 lat gospodarczy zasobami leśnymi Puszczy Białej. Podejmuje liczne inicjatywy społeczne na rzecz lokalnej wspólnoty wsi Białebloto i gminy Brańszczyk oraz powiatu wyszkowskiego. Jest prezesem stowarzyszenia „Inicjatywa Białeblota”.

Przebywając wśród starszego pokolenia wymierającej już ludności, wsłuchiwałem się w gawędy i relacje o minionych już czasach. Mieszkańcy osad puszczańskich to jeszcze prawdziwi Kurpie, którzy zachowali do dziś dużą odrębność i reprezentują piękno oraz bogactwo tego regionu. Zachowało się na tym terenie jeszcze tradycyjne budownictwo o rozwiniętej finezyjnej ornamentyce, meblarstwo, tkactwo odzieżowe, plecionkarstwo. Na szczególną uwagę zasługuje jednak wycinanka kurpiowska, jeden z głównych elementów dekoracyjnych chat na Kurpiach. Pozostałości dawnej kultury ludowej przetrwały w miejscowym folklorze w pieśniach, tańcach i obrzędach. Gwara ludności jest wyjątkowa. Przypomina szum sosnowych starych drzew lub brzęczenie skrzydeł pracowitych pszczół.

Można tu zobaczyć jeszcze barcie na wysokich dziuplastych sosnach - gniazda półdzikich zapylających kwiaty pszczół i pobierających z nich miododajny nektar. Tak zapamiętam ten region i przygodę z Puszcza Białą, którą poznałem dzięki Andrzejowi Dańczyszynowi. Wrósł on w tę ziemię. Założył tutaj rodzinę, zbudował dom i w pełni zasymilował się z Kurpiami.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Jest taki Uniwersytet

Niespodzianki są jak sól, dodają życiu smaku, potrzebne są szczególnie, gdy wokół szaro; ni jesienne, ni zimowo. Najpierw pan Zbigniew Babiarz-Zych uprzedził mnie, że podał mój numer telefonu panu Mariuszowi Byczkowskiemu, prezesowi Kaszubskiego Uniwersytetu Ludowego. Zadzwoiłam, rozmawialiśmy, jakby nasza znajomość trwała od lat, tyle ciekawych wątków i tematów, a rozmówca serdeczny, empatyczny, interesujący. Przyjęłam z radością zaproszenie na panel: „Jak być sobą u siebie? Budowanie tożsamości we wspólnotach lokalnych”.

Temat w centrum moich zainteresowań, właśnie wspólnie z panem Babiarzem-Zychem kończymy pracę redakcyjną książki „Jeśli będziemy jak kamienie. Reportaże z Objazdy i okolic”. Młodzi mieszkańcy zasiedlanych po wojnie tak zwanych Ziem Odzyskanych niewiele wiedzą o trudnych dziejach swych przodków - wojennych i okupacyjnych dramatach, utracie najbliższych, tułaczce po bezkresach Syberii czy niewolniczej pracy w III Rzeszy. A wiedza ta, do niedawna nieopisana i nieopowiedziana, to jeden z warunków powstania lokalnej społeczności z prawdziwego zdarzenia, złączonej nie tylko życiowymi interesami, ale także świadomością wspólnych lub odmiennych korzeni - dzieli ze mną stanowisko w tej kwestii pan Grzegorz Łyś, autor wstępu do książki.

Siedzibą KUL-u jest Wieżycza w powiecie kartuskim. Kaszubski Uniwersytet Ludowy (KUL) powstał w 1982 roku. Teoretyczne podstawy Uniwersytetów Ludowych stworzył w połowie XIX wieku Duńczyk Nikołaj Frederic Severin Grundtvig (1783 - 1872), filozof, poeta, pedagog i biskup. Jego koncepcja zakłada wolność, niezależność i daje prawo do uczestniczenia i decydowania o sobie i własnym rozwoju każdemu człowiekowi, a szkoła powinna sprzyjać takiej drodze życiowej. Pierwsze Uniwersytety Ludowe powstały w Danii. W Polsce pierwszy Uniwersytet Ludowy wzorowany na grundtvigowskim wzorze w 1921 roku założył w Dalkach pod Gnieznem ks. Antoni Ludwiczak. W Uniwersytecie Ludowym istotą działania jest budzenie samodzielnego stosunku do usystematyzowanej, dostępnej wiedzy. Uniwersytet Ludowy chce nawiązywać do życiowych doświadczeń i kultury, w której słuchacze uniwersytetu wzrastają, a podstawową metodą nauki jest żywe słowo, dyskusja i dialog.



Po wojnie Uniwersytety Ludowe odradzały się wokół takich wybitnych pedagogów, jak: Karol Małłek (Mazurski Uniwersytet Ludowy w Rudziskach), Waldemar Babinicz (już w czasie wojny tajny Uniwersytet Ludowy w Jeziorkach, potem Uniwersytet Ludowy w Pawłowicach i Rożnicy), Józef Kret i inni.

Wśród innych warto wspomnieć o inicjatywie ks. Jana Ziei, który zaraz po objęciu parafii w Wytownie w 1946 roku zorganizował Uniwersytet Ludowy w Wytownie (Orzechowie Morskim), zaangażował się jako wykładowca nauk ścisłych wg programu Wiedzy Powszechnej. Kierownikiem Uniwersytetu była pani dr Anna Minkowska, a wykładowcami Paweł

i Aleksandra Kolasińscy. W Objeździe była filia, tzw. Uniwersytet Niedzielny, który cieszył się dużym zainteresowaniem. „W każdą niedzielę po mszy św. zbierały się w lokalu szkoły powszechnej tłumy ludzi. Największa klasa szkolna nie mieściła słuchaczy. Pełno było w przejściu i na korytarzu. Przychodziło dużo młodzieży, ludzie starsi, dużo chłopów, robotników, miasteczkowych wielkości, jak administrator państwowego majątku, aptekarz itd. Ksiądz miał wykład po dwóch mszach i dwóch kazaniach w Wytownie i Objeździe, jechał potem jeszcze na mszę św. do Machowina i co dwa tygodnie do Rowów. Wykłady ks. Jana były bardzo atrakcyjne” - wspomina Anna Minkowska.

Fot. Gdaniec / wikipedia.org

Jednak od 1948 roku, kiedy władza ludowa poczuła swą siłę do sterowania życiem społecznym - uniwersytety ludowe były najpierw stopniowo ograniczane, aby w roku 1952 ulec całkowitej likwidacji. Upadł też Uniwersytet Ludowy powstały z inicjatywy ks. Jana Ziei w Orzechowie Morskim.

Nowo powstały w 1982 roku Kaszubski Uniwersytet Ludowy w Wieżycy od początku nawiązywał do idei i wzoru Grundtviga. W pierwszych latach działalności szkolił pracowników

wiejskich placówek kultury z Pomorza, współpracując z nauczycielami-regionalistami i pracownikami naukowymi Uniwersytetu Gdańskiego. W roku 1995 w pozyskanym pałacyku z pięknym parkiem w Starbieniu k. Choczewa (na północy woj. pomorskiego) powstała filia Kaszubskiego Uniwersytetu Ludowego. Mieści się tam dzisiaj Ośrodek Edukacji Ekologicznej i pracownie rzemiosła artystycznego. W latach 2007 - 2010 z dotacji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji została zmodernizowana baza siedziby głównej w Wieżycy. Wyposażenie pokoi noclegowych oraz sal dydaktycznych siedziby KUL w Wieżycy sfinansowano z dotacji udzielonej przez Fundację Użyteczności Publicznej Hermanna-Niermanna z Düsseldorfu.

Animatorzy, działacze Uniwersytetów Ludowych widzą potrzebę odrodzenia ruchu Uniwersytetów Ludowych w Polsce, o co apeluje od lat profesor Józef Półturzycki oraz Zofia Kaczor-Jędrzycka, honorowy prezes Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych.

Wciąż aktualne są słowa Ignacego Solorza, orędownika idei Uniwersytetów Ludowych: „Pomóc człowiekowi myślcemu, aby znalazł swego istnienia cel, swego życia gwiazdę i własną drogę; pomóc człowiekowi, aby wypracowana przezeń idea życia była nie ino w głowie, w widzeniu, w rozumieniu, ale przede wszystkim we własnej jego krwi, w całym uczuciu, na każdym kroku, aby była żywą, uciele-

śniającą się prawdą, a nie kłamstwem i oszukiwaniem siebie i drugih, różnicą między słowem i wiedzą, a życiem: pomóc człowiekowi, aby znalazł w sobie i wydobyl z siebie możliwości twórcze”.

Marek Byczkowski, prezes zarządu KUL w Wieżycy od 1982 roku do ostatniego dnia 2017 roku, od lat podejmuje próby na rzecz zjednoczenia sił placówek UL, a sam KUL w Wieżycy tętni życiem i inicjatywami. W grudniu 2017 roku byłam świadkiem serdecznego pożegnania Marka Byczkowskiego przez Wojciecha Szroedera i Orkiestrę Klezmerską Teatru Sejneńskiego podczas koncertu w Czarnej Dąbrówce - w związku z przejściem na emeryturę. Placówkę objął powołany 16 października 2017 roku przez Radę Fundacji „Kaszubski Uniwersytet Ludowy” na stanowisko prezesa Zarządu Mariusz Mówka.

W panelu zorganizowanym przez KUL z Wieżycy w Czarnej Dąbrówce uczestniczyli obaj prezesi, zaproszeni wykładowcy, paneliści i słuchacze, głównie pracownicy placówek kultury z województwa pomorskiego.

Dr Tomasz Marcysiak z Wyższej Szkoły Bankowej w Toruniu zgodnie z programem miał wygłosić wykład „Kształtowanie tożsamości społeczności postmigracyjnych”. Mówił o poszukiwaniach wspólnie ze studentami pozostałości kultury Kosznejdrów. Temat dla mnie szalenie ciekawy, sama niedawno odkrywałam, poszukiwałam wiadomości i pisałam o rozproszonej po wojnie grupie etnicznej. Kosznejdrzy zachowali poczucie odrębności przez ponad 340 lat, w tym 20 lat w Polsce międzywojennej.

Doświadczenia ostatniej wojny sprawiły, że tak mocno zakorzeniona na gruncie Pomorza kilkunastotysięczna społeczność musiała opuścić swą małą ojczyznę po wiekach trwania. Trudno odnaleźć rodowitych Kosznejdrów, zniszczeniu uległy pamiątki kultury materialnej, w tym cmentarze. Dopiero w ostatnich latach odżywa wśród mieszkających na terenie między Tucholą, Chojnicami a Kamieniem Krajeńskim, czyli na terenie Kosznejderii świadomość pochodzenia, przynależności do dawnej kultury, której centrum jest wieś Ostrowite. Odkrywanie ginącej kultury, poszukiwanie materialnych pamiątek jest zajęciem dla detektywa czy naukowca? Może uda się wypro-

wadzić z owych poszukiwań coś więcej niż ciekawostkę etnologiczną.

„Doktor Marcysiak (...)” jeszcze nie wdepnął w żadną naukową poprawność. I dlatego ma szansę wypracować samodzielnie jakieś nowe podejście do tej rzeczywistości, którą odkrył, pokazał i opowiedział. A jest to rzeczywistość porażająca swoją materialnością rzeczy tkwiących w kosznajderskim krajobrazie, fizycznością obiektów i narzędzi, cielesnością ludzi tam mieszkających. Domagają się one nowego spojrzenia, nowego języka i nowych teorii.”

„Poszerzenie pola kultury na Pomorzu - wyniki z badań empirycznych” przedstawiła dr Karolina Ciechorska-Kulesza z Instytutu Filozofii, Socjologii i Dziennikarstwa Uniwersytetu Gdańskiego. Profesjonalny wykład ilustrowany tabelami, zestawieniami, wnioskami był interesujący i stał się przyczynkiem panelowej dyskusji. Autorka książki „Tożsamość a przestrzeń w warunkach niestabilnych granic. Przypadek byłego województwa elbląskiego” penetruje północne regiony Polski, prowadzi badania problemów na linii człowiek-przestrzeń jego życia. Nowe media, drogi dostępu do kultury poszerzają jej przestrzeń, w obrębie której następują przewartościowania świadomości i tożsamości. Już nie tylko instytucjonalne, kierowane przekazy mają wpływ na postrzeganie przestrzeni kultury, teraz i dom z dostępem do zbiorów bibliotek, filmów, książek, muzyki, muzeów jest szeroką przestrzenią dostępną dla odbiorców indywidualnych dzięki nowym technologiom. Szczególnie ciekawe były zestawienia poszczególnych regionów. Okazuje się, że region słupski dynamicznie poszerza „pole kultury”.

Pytałam o badania grup popegeerowskich, licznych w naszym (słupskim) regionie, o ich „pola kultury”. Niestety, odrębnych badań nie prowadzono.

Wśród panelistów był Krzysztof Wirkus z Fundacji Rozwoju Lokalnego „Parasol” w Bytowie. Posługując się laptopem i indywidualną skrzynką mailową próbował odpowiedzieć na pytanie, co to znaczy być bytowaninem. Bytowanie nie utożsamiają się z Kaszubami, licznie mają krewnych lub znajomych w Niemczech. Pan Krzysztof Wirkus cytował e-mailowy list swojego znajomego z Niemiec z odpowiedzią na zadane



pytanie. Niestety, bez jednoznacznej odpowiedzi, ale z sentymentem dla miasteczka. Wśród znajomych pan Krzysztof ma też kresowian. Dlatego nie padła jednoznaczna odpowiedź o tożsamość bytowian budowaną z elementów wielu kultur.

Do podobnych wniosków w swojej wypowiedzi prowadziła pani Gabryela Włodarska z Muzeum Wsi Słowińskiej w Klukach. Społeczność klucka jest zróżnicowana etnicznie: wielu rdzennych mieszkańców wsi wyjechało dopiero w latach siedemdziesiątych. Tuż po wojnie wieś zasiedlono przybyszami z Kresów, osiedliło się tu wielu, których określano Ukraińcami. Konflikty były nieuniknione. Dopiero indywidualne kontakty w drugim pokoleniu, małżeństwa i powinowactwa są podstawą budowania lokalnej wspólnotowej społeczności.

Przyszła kolej na moje wystąpienie. Przyjechałam z materiałami pomocniczymi: stare zdjęcia, dokumenty repatriantów, lipowe łapcie z Polesia, tkane przez babcię z Plebańców wełniane narzuty, lniane prześcieradła i ręczniki. Organizatorzy urządzili z nich wystawkę, która cieszyła się zainteresowaniem. Dokumentacja fotograficzna dostępna jest na profilu fb KUL-u.

Miałam przygotowany konspekt wystąpienia, podszyty, co prawda, strachem. Co powiedzieć wśród utytułowanych naukowo gości? Wszystko się zmieniło, mój porządek zburzyło wystąpienie dra Tomasza Marcysia o Kosznajderii. Postanowiłam nawiązać do tego wątku, ale zaczęłam od wiersza „Osadnicy”:

*Spadli w tę ziemię z pyłem wojennym
nadzy, wyrwani z miejsc ukochanych
na kresach
odziani aktem nadania spisem inwentarza
w którym stół i krzesła obcym zapachem
świadczyły o prawie niewłasności.
On w wytartym mundurze ona w kusej sukience
z posagiem rozstań ran win niezawinionych
składali szczęście z cichych rozmów
niepewności walizek gotowych do drogi
rąk po zmierzchu zanurzonych w ziemi
Szumem pasieki i ciepłem chleba obłaskawiali
miejsce dla ptaków z siebie zrodzonych.*

Potem kilka zdań o drogach, które przywiodły osadników do Objazdy i o tym, jak zacierali ślady niemieckie, by ośwoić przestrzeń, o zacieraniu dosłownym niemieckiego tekstu na

pomniku - ławie wotywniej, niszczeniu starych grobów i o roli przybyłego do wsi Kosznajdra, czyli renowacji ocalałej mimo wszystko ławy wotywniej, symbolu wspólnego z dawnymi mieszkańcami dziedzictwa, które trzeba przyjąć, by budować rzeczywistość, wspólnotową tożsamość. Na koniec też wiersz „Moja Matka”:

*Jak ręcznik ofiarny
Za pamięć Antoli, Frani, Ludwisia
Rozciągnięty między czasem tamtym i tym
Rajem dzieciństwa a obcą ziemią obiecaną,
Szuka ciągle miejsca dla swych wspomnień.
Buduje ze słów śpiewnie ulotnych
Imion niemodnych, zdrobnień domowych,
Skrawków odległych zdarzeń i strzępów pieśni
Dom dla swych myśli i tęsknot na długie noce bezsenne.
Wplata pracowicie w dzisiejszy krajobraz
Fragmenty dawnej ojczyzny spod Pińska*

Były pytania o autora wierszy i dokumenty z wystawy. Prawdę powiedziawszy, czułam się jak na egzaminie.

W drugiej części, po przerwie kawowej, odbywały się zajęcia warsztatowe: „Budowanie tożsamości - budowanie wspólnoty. Warsztaty dobrych praktyk w zakresie animacji kultury”. Zapisalam się na spotkanie z panem Pawłem Żmudą z GOK w Głównych, inicjatorem powstania publikacji „Przesiedlona młodość”. Pisałam niegdyś recenzję z tej publikacji. Przypomnę tylko podstawowe informacje: Wydawcą książki jest Gminny Ośrodek Kultury w Głównych, realizacja publikacji odbyła się formule projektu „Seniorzy w akcji” sfinansowanego ze środków Towarzystwa Inicjatyw Twórczych „e”. Współrealizatorką projektu była seniorka Teresa Janusewicz, która wraz z Pawłem Żmudą oraz Tomaszem Niklasem zbierała wspomnienia. Dzieńtemaście relacji mieszkańców gminy Główny tworzy barwną i wielowątkową historię ludzi, miejsc, zdarzeń i czasu przedwojnia, II wojny światowej, a przede wszystkim powojennych dramatów, rozczarowań i nadziei.

Publikacja zyskała ogromne zainteresowanie. Wysłała niedawno druga edycja wspomnień, a Paweł Żmuda pracuje nad trzecią. Do projektu włączono młodzież i studentów. Jedynym zmartwieniem autorów pomysłu jest zbyt późna jego realiza-

cja. Wielu seniorów pamiętających tamten czas z racji wieku odchodzi.

W dyskusji pojawiły się pytania o sposoby finansowania, metody pracy nad zebranymi relacjami, ich wartość dla budowania wspólnoty. Ta część szczególnie mnie interesowała. Utwierdziła mnie, że mój wysi-

łek i starania o wydanie książki „Jeśli będziemy jak kamienie. Reportaż z Objazdy i okolic” jest potrzebny i ważny, i że oczekiwania mieszkańców mojej okolicy mają uzasadnienie. Żalowałam tylko, że na wyjazd do Czarnej Dąbrówki nie udało mi się namówić nikogo z Centrum Kultury Gminy Ustka.

Obok trwała realizacja alternatywnego warsztatu prowadzonego przez panią Iwonę Woźniewską, współautorkę projektu „New School” z Gdańska - Nowego Portu. Autorzy proponowali zagospodarować przestrzeń szkoły kulturą uliczną, która ma swoje silne uwarunkowania środowiskowe w dzielnicy Nowy Port. Street art będący w opozycji do szkoły fascynował młodzież. Autorzy projektu postanowili wnieść na lekcje elementy kultury ulicy, takie jak: moda, street dance, graffiti jako propozycję dla młodzieży w wieku 14-19 lat, by zmienić opozycję w koalicję szkoła - ja. Warsztaty odbywały się równolegle, nie uczestniczyłam w nich, ale to, co przeczytałam o projekcie „New School” wydaje mi się interesujące.

Rozmowy trwały z pewnością długo, przeniosły się na czas kolacji przygotowanej przez Koło Gospodyń Wiejskich z Czarnej Dąbrówki. Potrawy były wyśmienite.

Zbliżała się 19:00, zapowiadany koncert Orkiestry Klezmerskiej Teatru Sejneńskiego. „Orkiestra to przede wszystkim młodzi ludzie wychowani na Pograniczu - mowa tu zarówno o pograniczu geograficznym, jak i tym kulturowym. Muzyki uczą się nie w szkole, ale na co dzień w zespole prowadzonym przez Wojciecha Szroedera; próby mają w dawnej jeszowie a koncerty w odremontowanej synagodze. W ich muzyce słychać wpływ tradycji, ale przede wszystkim fantastyczną energię i witalność” - informuje strona internetowa Suwalskiego Ośrodka Kultury. Młodzież i dzieci, i ich nauczyciel i opiekun,

Wojciech Szroeder porwali słuchaczy rytmem, brawurową grą na instrumentach, sceniczną dyscypliną. Wyjątkowy, niezapomniany, zachwycający koncert.

Wciąż jestem pod wrażeniem sprawności organizacyjnej, niezwykłej, serdecznej atmosfery całego spotkania, dyskrecji i profesjonalizmu osób obsługujących wydarzenie. Dyrektor GCKiB w Czarnej Dąbrowce pan Dariusz Narloch twierdzi, że nie mógłby wymarzyć piękniejszego podsumowania obchodów 40-lecia ośrodka kultury w Czarnej Dąbrowce, tym bardziej, że pan Wojciech Szroeder wraz ze swoją żoną Bożeną (p. Bożena pełniła funkcję Dyrektora GOK w Czarnej Dąbrowce) w końcu lat 80. właściwie decydowali o miejscowej kulturze. To za ich czasów Czarna Dąbrowka była przysłowiową stolicą kultury alternatywnej w Polsce.

Stwierdzę zatem krótko: spotkanie w Czarnej Dąbrowce dla wielu osób było prawdziwą niespodzianką.

Czesława Długoszek, Objazda

Ps. Uniwersytety ludowe w Polsce całkowicie nie upadły, istniały także w latach 70. i 80. ub. wieku. Prowadził je Zarząd Główny ZSMW, potem ZSMP. Zajmowały się przygotowaniem kadr dla placówek i instytucji kultury. Najbardziej znane z tego okresu to UL w Wierchosławicach (taniec), UL we Wzdowie (teatr) i UL w Radawnicy (fotografia i film). Jestem absolwentem UL w Radawnicy z 1975 r. i śmiem twierdzić, że wbrew wszelkim podejrzeniom politycznym były to - jak chciał I. Solarz - palcówki „wydobywające od ludzi” w różnym wieku, w tym b. wielu młodych - „możliwości twórcze”. Przez wiele lat popularyzowałem w parsie młodzieżowej, regionalnej i krajowej piękną ideę uniwersytetów ludowych. Niestety, w latach 90. wraz z upadkiem organizacji młodzieżowych - upadły one, by potem jak UL w Wieżycy narodzić się na nowo. Warto przypomnieć, że absolwentami UL są m.in.: Marcin Daniec, Krzysztof Hanke, Stanisław Guzek (znany jako Stan Borys), Ivo Orłowski, Jan Kondrak czy światowej sławy wokalistka jazzowa - Grażyna Auguścik z Pomorza.

**Z. Babiarz-Zych
Słupsk**



Pochwały godne dziewczęta w bieli

Przypisuje się zwykle ich specjalność paramedycynie, pielęgniarstwu, nieraz nawet... wolontariatowi zakonnemu „w urzędowym świeckim przebraniu”. Wystarczy atoli zerknąć do wikipedii lub na przykład do „Słownika wyrazów obcych” PWN, żeby stwierdzić: nic bardziej mylnego.

Fizjoterapia - specjalność tytułowych dziewcząt w bieli - to bowiem, w skrócie, poprawianie stanu zdrowia bez środków farmaceutycznych, a dzięki preferowaniu elektryczności, światła, wody, powietrza etc. Słowem przyrodolecznictwo. W trochę szerszym ujęciu rehabilitacja medyczna - dodała w rozmowie ze mną specjalistka w poradni SPEC-MED przy ulicy Jana Pawła II, dr Kamilla Nasiadko-Wojcieszynska

Z usług wyżej wymienionej, trzeciej z rzędu placówki (notabene ze znakomitą ceramiką ścienną art. plast. Łucji Włodek) korzystam - przez świadomy wybór - od lat. Nie ja jeden zresztą. Dzień w dzień bywa tu średnio 250 słupszczan oraz mieszkańców pobliskich wiosek, czasem i sąsiednich gmin. Z różnymi kłopotami zdrowotnymi, które dr Nasiadko-Wojcieszynska kwalifikuje do trzech spośród dziesięciu stanowisk zabiegowych (tzw. bioprądy, laser, pole magnetyczne, krioterapia, lampa sollux, ultradźwięki, kinezyterapia, wirówki, okłady borowinowe, specjalna sala gimnastyczna).

Obsługują je wspomniane (imiennie, bez nazwisk - zbędnych w tego typu zapisach) „dziewczęta w bieli”. Przeważnie (z jednym wyjątkiem) dwudziesto-, trzydziestolatki. Wszystkie (tak!) po studiach co najmniej I stopnia - z licencjatem i bliską już obroną pracy magisterskiej. Prawie wszystkie w SPEC-MED przy ulicy Ja-

na Pawła II od dużo więcej lat jak „zwyyczajowe” minimalne dwa - trzy. Ciągłe „w biegu” (super operatywność wykazuje, zdaniem ogółu pacjentów, „seniora” p. Alicja). Zawsze uśmiechnięte, żywe, stwarzające miły i pogodny nastrój (panie Andżelika, Natalia, Maja). Z wyjątkową kulturą osobistą i rozległą wiedzą m.in. humanistyczną (p. Agnieszka). O niezwykłej, wynikającej ze szczególnych doświadczeń pracowitości i bystrości w godzinach przyjęć na zabiegi (p. Urszula, często z udziałem koleżanek - Agnieszki lub Natalii)...

Że pominąłem którąś? Niech darują mi, proszę, pp. Joanna, Katarzyna, Mariola. To tylko garść przykładów pierwszych z brzegu. Fakt, z trwających do sześćdziesięciu minut (!) „towarzyskich rozmówek” w trakcie zabiegów rehabilitacyjnych wyniosłem - i ja, i inni pacjenci - wiele arcyciekawych konstatacji. Nie starczyłoby miejsca dla ich odnotowania. Muszę przywołać tu jednak wypowiedź ostatniej z ww. pań: - Leitmotiv pracy fizjoterapeutki? Śpieszyć z pomocą innym. Nawet jeśli to brzmi banalnie albo ogranicza życie prywatne i osobiste hobby - zgodzi się Pan?

Chylę czoło przed całą Waszą dziewiątką! Zwłaszcza z okazji Dnia Pracownika Służby Zdrowia. Święta wszystkich ludzi w bieli. Nie tylko z Hipokratesowym cenzusem lekarza medycyny. Także Wam podobnym.

Jerzy R. Lissowski, Słupsk



Wielkanocna symbolika

W Polsce palmę zastępuje się gałązką wierzby, która ucieleśnia zmartwychwstanie i nieśmiertelność duszy.

Ukorzeni ludzkich kultur znajdują się symbole śmierci i narodzin. Obie tajemnice od zawsze rozbudzały największe ludzkie emocje. W efekcie tego powstało wiele różnorodnych symboli, które z czasem legły u podstaw religijnych wierzeń. Święta Wielkanocne w bardzo bezpośredni sposób dotykają największych tajemnic ludzkości, stąd pogańska symbolika bardzo szybko została skojarzona z cudem Zmartwychwstania.

Baranek wielkanocny - symbol Chrystusa jest figurą starotestamentalną. Przypomina nam, że jak w noc wyjścia z Egiptu przez krew zabitego baranka, którą były pomazane od zewnątrz drzwi domów Izraelitów, tak przez krew baranka Jezusa, zostaliśmy ocaleni od śmierci.

Jajko było zawsze symbolem filozoficznych rozważań nad początkiem świata i życia. Symbolika jajka „jako źródła wszelkiego początku”, wystę-

puje w wielu kulturach świata. Uważa się ją za metaforę ukrytego życia, tajemniczej siły istnienia i odrodzenia się życia w przyrodzie. Stąd też wywodzi się powiązanie symbolu jajka ze Zmartwychwstaniem.

Kurczak jest ściśle związany z symbolem jajka. WXIX wieku w Galicji mówiono: „wstał z grobu (Chrystus) jak z jaja kurczę. Jego żółta barwa odwołuje się do motywów solarnych, symbolizuje wieczność, odrodzenie i słońce.

Zajaczek w wielu kulturach, począwszy od starożytności, kojarzony był z płodnością, przyrodą, odrodzeniem, ruchliwością oraz tchórzliwością. Dopiero w XVII wieku połączono ten symbol ze Świętami Wielkanocnymi. Do Polski zwyczaj ten dotarł z Niemiec na początku XX wieku. Zajaczek jest raczej rekwizytem niż bohaterem obrzędu.

Palma została wprowadzona do liturgii kościelnej w XI wieku na pa-

miątkę triumfalnego wjazdu Chrystusa do Jerozolimy. Niedziela Palmowa zwana jest również Różdżkową, Wierzbną oraz Kwietną. Tego dnia, wierni uczestniczą we mszy, podczas której ksiądz święci palmy - symbol odradzającego się życia. W Polsce palmę zastępuje się gałązką wierzby, która ucieleśnia zmartwychwstanie i nieśmiertelność duszy. Dawniej rolnicy umieszczali krzyżyki zrobione z poświęconych palm na swoich polach. Chłopi wierzyli, że poświęcona palma wetknięta na rogu pola uprawnego chroniła je przed suszą i szkodnikami. Gałązkami palmowymi próbowano także ujarzmić burzę. Ustawione w oknie domostwa chroniły dobytek oraz mieszkańców.

Symbole, których używamy do celebracji Zmartwychwstania, w większości pochodzą z pradawnych wierzeń, i mimo że są one bezpośrednio powiązane pierwotnym chrześcijaństwem, w piękny sposób ubarwiają i wzbogacają Święta Wielkanocne.

**Emilia Maraśkiewicz
Darłowo**

Najpierw może parę słów o wydawcy wspomnianej książki. Jest nim działające od pięciu lat w Londynie i znane już nawet w Środkowo-Wschodniej Europie BPH (British Publishing House), które w ramach akcji pn. British Pedia zajmuje się - poprzez firmowe Biura na Wyspach oraz w Warszawie, Pradze, Bratysławie, Budapeszcie, Wilnie - „innovacyjnym konceptem edytorskim”. Co ważniejsze dla Czytelników: „Wyjątkowy certyfikat BP (Brit. Pedia; dop. autora) to znak oficjalnego uznania dokonań artystycznych i pamiątka in spe”. Więcej - zdradzają animatorzy Britis Pedia. „Każdy arkusz czerpane go papieru jawi się tu i u was jedynym w swoim rodzaju, z indywidualnymi charakterystycznymi właściwościami - w szczególności z niepowtarzalnymi nieregularnymi krawędziami”...

Będzie się działo! - spuentował by Jurek Owsiak. Kiedy? - W grudniu, przed Bożym Narodzeniem; a propos: otrzymacie pierwsi - informuje redakcję „Powiatu Słupskiego” pełnomocnik warszawskiej delegatury British Pedia, zaprzyjaźniony dziennikarz koszaliński, Mirosław Krom. - Z CV Gerarda Tredera jako najciekawszej i najbardziej znaczącej osobowości wśród twórców regionu między Słupią, Łebą i Brdą. To bez wątpienia ewenement. Nie tylko w słupskiej bądź środkowopomorskiej skali, a - według tytułu encyklopedii - w obrębie całej Rzeczypospolitej Polskiej. No i - wiesz chyba dobrze z racji zainteresowań sztuką, m.in. Trederem - nie tylko we własnym odczuciu.

* * *

Sprowokowałeś mnie Mirku, by rozwinąć temat w formie recenzentkich notatek. Służę nimi ze szczerą satysfakcją. Oto ich zwięzła (?) garstka.

W okresie minionych czterech z górą dekad pisywałem o Gerardzie Trederze, prezentując i oceniając jego twórczość plastyczną, wielokrotnie - co najmniej kilkanaście (ok. 15) razy. Między innymi na łamach „Głosu Pomorza”, „Tygodnika Słupskiego/Koszalińskiego”, „Gońca Pomorskiego”, „Powiatu Słupskiego” (w pierwszym rządzie) i koszalińskiego „Miesięcznika Społeczno-Kulturalnego” (prze-druki z „PS” od roku 2011). Pozwólę sobie przywołać kilka fragmentów ww. publikacji.

„Tygodnik Słupski”, 1997. Cyt. Jest on swoistym ewenementem arty-

Gerard Treder w „Encyklopedii osobowości RP”

W grudniu, przed Bożym Narodzeniem czytelnicy „Powiatu Słupskiego” otrzymają pierwsi egzemplarz „Encyklopedii osobowości RP”, w której znajdzie się sylwetka malarza Gerarda Tredera ze Słupska - informuje pełnomocnik warszawskiej delegatury British Pedia, zaprzyjaźniony dziennikarz koszaliński, Mirosław Krom.



stycznym w Słupsku, ba! daleko poza opłotkami grodu nad Słupią. Od przeszło 20 lat zadziwia bowiem miesz-

kańców miasta i regionu niezwykłą doprawdy operatywnością i sprawnością warsztatową. Wątpię ponad-

to, aby znalazł się na Ziemi Słupskiej, mało: na Pomorzu Środkowym, drugi nieprofesjonalny sztalugowiec z 864 (teraz 2.693!) obrazami olejnymi oraz 35 (dzisiaj 68) ciepło, często bardzo ciepło przyjmowanymi pokazami indywidualnymi w kraju i za granicą (Niemcy, Szwecja, Dania, Belgia, Holandia, Luksemburg, USA, Kanada i - tak, tak - Nowa Zelandia). Przy okazji: właśnie tam, w Auckland, niedawno (2015) zjednał sobie nasz mistrz sponsora, dzięki któremu sygnowana przezeń twórczość zaczęła docierać aż na skraj Azji i do Antypodów.

Dwumiesięcznik „Powiat Słupski”, wyminki z siedmiu aż tekstów.

Krótkie curriculum vitae G. Tredera. Rodowity Pomorzanin (ściśle autochton spod Kartuz ze starokaszubskimi, jak pamięcią sięgnąć, korzeniami). Sześć lat po maturze pracował w mieście nad Motławą jako stoczniowiec z dyplomem technika i konstruktora statków i okrętów. W 1975, gdy ówczesne władze PRL zmieniły mapę administracyjną kraju, przeniósł się do Słupska, wiążąc się zawodowo (funkcjonariusz-ogniomistrz, stricte zaś pracownik ds. malej poligrafii) z Komendą Wojewódzką i Rejonową Państwową Strażą Pożarną oraz Zarządem Wojewódzkim Związku Ochotniczych Straży Pożarnych. Dopóty, dopóki nie polikwidowano województwa a la Słupsk...

Został z „marszu” - na podstawie pierwszych (z gdańską cezurą), w zgodnej ocenie fachowców bardzo udanych prób rzeźbiarskich a przede wszystkim graficzno-malarskich - członkiem (nb. w coraz większym stopniu nominalnym przez zaskakującą wprost rzutkość, inicjatywność i biegłość, w reasumpcji: dojrzałość techniczną) circa 200-osobowego w Klubu Plastyka Amatora Wojewódzkiego Domu Kultury.

- Ponadprzeciętny talent. Jeden z prawdziwych spiritus movens KPA, ani chybi profesjonalista! - mawiał jeszcze w latach osiemdziesiątych założyciel i opiekun Klubu aż do śmierci (2000), Stefan Morawski. Strażak z takim zacięciem i „półprofesjonalizmem” (według mnie w chwili obecnej ów „quasiprofesjonalizm” można, bez przesady, między przysłowiowe bajki włożyć)... Nie on jeden wziął w końcu rozbrat ze swoim fachem. Pierwsze z brzegu przykłady ze świata sztuki przez duże S: Tadeusz Boy-Żeleński, Stanisław Lem (lekarze),

Wiesław Ochman (inżynier górnictwa i hutnictwa; sic!), Henryk Czyż (prawnik), Marek Grechuta (architekt), Robert Janowski (weterynarz). Starczy, sądzę...

* * *

Pora jąć się istoty sprawy - tematyki i rodzajów prac plastycznych bohatera niniejszego szkicu. - Zanotuj, mówi, jeśli chcesz. Hołubię zwłaszcza przetworzone (z reguły bodaj trochę odrealnione) rodzime krajobrazy (morze!), pejzaże oraz bukiety - kombinacje, martwe natury, słowem bliską mi od dziecięcych lat przyrodę. Przyroda... Tutejsze jeziora i lasy, urzekające i tajemnicze jak bezkres wokół pałacowych ogrodów legendarnej królowej Asyrii - Semiramidy. Ale także wychwycone przez ciągle spoglądanie na świat z boku, z ukosa, wirtualnym trzecim wzrokiem: nieodmknięta brama, ukryta w gęszczu zieleni furtka, różnorakie leciwe ramy okienne (z malowidłami zamiast szyb), prowadząca Bóg wie dokąd droga, ścieżyna, trakt (bywa ostatnio, że na przykład z samochodowymi grakami ph. „Stare a przecież piękne!”). W czym rzecz? Ja - w odróżnieniu na przykład od impresjonistów - nie pasjonuję się uchwyceniem chwili, lecz zaciekawieniem odbiorcy, wciągnięciem go w głąb sztuki. Ot co.

Równą przyjemność - dodaje odowiedzony bezpośrednio po rozmowie z M. Kromem artysta plastik - czuję w trakcie kreowania wspomnianych martwych natur, ha! też i... aktów lub półaktów. Taka dewiza: wychodzić naprzeciw adresatom vel odbiorcom swych kompozycji wszelkimi sposobami, stale i wszędzie - przyświecała, wydaje się, moim idolom Salvadorowi Dali i Iwanowi Szyszkinowi.

Gdzie Rzym, gdzie Krym? - chciałoby się zapytać. Szyszkin: dziewiętnastowieczny petersburski autor realistycznych pejzaży, odznaczających się drobiazgowym oddawaniem szczegółów („Dale leśne”, „Dęby”, „Żyto”, „Poranek w sosnowym lesie”). I Dali: surrealista, który bardzo oryginalną metodą twórczą, „paranoiczno-krytyczną”, wprowadza nas w atmosferę niezwykłości i fantastyki, a wirtuozerką wręcz techniką przywołuje ars bellissima graniczącą - bez przesady - z iluzjonizmem („Kanibalizm jesieni”, „Przecucie wojny domowej”).

Każde spośród 40-60 oglądanych płócien (w tym roku w zamkowej re-

stauracji Anna de Croy) pachniało mi zawsze świeżą farbą, nosiło znamiona coraz to innej konwencji techniczno-programowej. Sporo wśród nich dostrzegałem i ciągle dostrzegam transpozycji naturyzmu, weryzmu. Łatwo atoli doszukać się w napomkniętych zestawach również... kubistycznych lub „tylko” kubizujących realizacji, postkubistycznych kolaży, ucieczek w świat nadrealizmu, abstrakcjonizmu; nie dosyć: zamysłów tworzenia całkiem nowej faktury malarsko-rzeźbiarskiej (jak u El Greca: z anarchią linii pionowych, lotem ku górze oraz intensywnością spojrzenia, która często rozsada przestrzeń obrazu) i... zwykłych, czasem jakby z lekka szkolarskich (sic) utrważeń otaczającej artystę - skądinąd eksfunkcjonariusza straży - rzeczywistości. Finis.

Niezupełnie. Mają przecież swoją wymowę choćby takie konotacje gości pokazów Tredera: - Wszystko generuje tu we mnie ciepło i radość (Qltura Club, Bytów). - Czy można zakochać się w strachu na wróble? Tak. Jeżeli wyszedł spod pędzla pana Gerarda. Od dziś i ten strach, i okalające go w dali wróble będą cieszyły mój wzrok każdego poranka (Duo Cafe, Słupsk). - Jednym słowem: Wspaniałe! O dwa słowa więcej: prawdziwe malarskie uroczysko (plaża w Uście, gdzie rok w rok późną wiosną i latem Maestro G. Treder występuje w roli marszanda, bo koniec końców „plastykowi manna nie spada z nieba”). - Co za wszechstronność i oryginalność, a przy tym jakże ujmująca czystość koloru i formy! (rest. Anna de Croy w podziemiach Zamku Książąt Pomorskich).

* * *

Post scriptum. Benefis (40-lecie pracy artystycznej, 65.urodziny, no i - w głównej mierze - „certyfikat” wybitnej osobowości Rzeczypospolitej Polskiej wśród ludzi sztuki RP w przygotowywanej do druku przez londyńską oficynę wydawniczą encyklopedii) chyba bezsporny. „Aż się prosi” o stosowną szybką inicjatywę władz miasta, powiatu i województwa oraz komendy PSP. Tym razem (po wcześniejszych sugestiach, które przeszły całkowicie bez echa...) wyżej wymienieni adresaci nie zbedą chyba nas zenującym doprawdy milczeniem.

Ku wspólnej z Czytelnikami satysfakcji odnotowuje powyższy zamysł:

Jerzy R. Lissowski, Słupsk



Nowy obiekt teatru już w 2020 roku

Na zaproszenie Dominika Nowaka, dyrektora Teatru im. Witkacego oglądałam w jego gabinecie projekty nowego obiektu, ich wizualizację i zapoznając się z harmonogramem budowy kulturalnego kwartału w mieście. Dyrektor jest pełen entuzjazmu, informuje o podpisanej już umowie na sfinansowanie budowy nowej siedziby teatru.

Zgodnie z planami słupski nowy teatr będzie miał scenę z widownią na około 250 miejsc z wygodnymi fotelami dla widzów, salę prób i sale warsztatowe, foyer z kawiarnią, zaplecze techniczne, biurowe oraz garderoby aktorskie z tarasami na dachu. Przy ulicy Lutosławskiego 1, w miejscu jedynej należącej do teatru nieruchomości, byłego budynku gospodarczego powstanie Centrum Inicjatyw Społecznych i Artystycznych. Inwestycja będzie kosztować ponad 13 milionów złotych i zostanie oddana do użytku w 2020 roku. Zostaną w końcu sfinalizowane wieloletnie marzenia mieszkańców Słupska o nowoczesnym teatrze oraz uwieńczone sukcesem 13-letnie starania o nowy obiekt. Liczby mówią same za siebie. Słupski teatr w 2017 roku zagrał 121 spektakli w samym Słupsku i 78 poza siedzibą - o 49 więcej jak w roku 2015! Spektakle te obejrzało ponad 24 tys. osób, frekwencja na nich była 75-procentowa. Teatr zatrudnia 31 osób. Pro-

wadzi też szeroką działalność edukacyjną i okołoteatralną. Zawiązał się przy nim Klubu Młodzieżowego Recenzenta; młodzież pisząca amatorskie recenzje z wieczornych spektakli może liczyć na bezpłatne wejściówki do teatru. Innowacją stanowi powołana grupa teatralna „Repertuar” - prowadzona przez aktorów Bożenę Borek i Igora Chmielnika. Godne odnotowania są inicjatywy „Niania w teatrze”, „Bilet podarunkowy”. Bardzo dobrze zostały przyjęte też napisy w językach obcych towarzyszące wybranym spektaklom. Udaną była premiera „Wszyscy z jednego szynela” - spektaklu muzyczno-kabaretowego przygotowanego przez Rafała Kmitę w koprodukcji z gminą Kobylnica. Z dużym zainteresowaniem widzów spotkała się też tragifarsa „Las Villas” - wielokrotnie wznawiana. Ciekawą okazała się inicjatywa polsko-niemiecka sztuki „Biedermann i podpalacze” na podstawie tekstu M. Frisha. Spektakl ten powstał dzięki grantowi zdobyte-

mu z Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej przy współudziale Słupska.

Dzisiaj mogę zapowiedzieć dwie nowe premiery, które jeszcze w tym sezonie teatralnym będą prezentowane na scenie słupskiego teatru. Pierwsza to sztuka „Tlen” Iwana Wyrpajewa, opowiadająca o ludziach mieszkających w niewielkim miasteczku. Historia to uniwersalna - mogłaby się przydarzyć zarówno w głębokiej Rosji, jak i gdzieś na Pomorzu. Skierowana jest do młodego widza, poszukującego również dobrej muzyki. W muzycznej podróży, nacechowanej sekwencją scen biblijnych i starocerkiewną estetyką jest zanurzony główny bohater, który w ten sposób obnaża codzienną rzeczywistość. Spektakl jest przypo-

wieścią o moralności, egzystencji i brutalnej rzeczywistości. Sacrum nieustannie miesza się w nim z profanum, a czystość z brudem. Walka o tlen niezbędny do życia staje się głównym celem i swoistą obsesją Saszy. W przedstawieniu tym, oprócz aktorów słupskiego teatru, wystąpi muzyczne

trio Ze Velocipedes. Powstaje ono dzięki stypendium prezydenta Słupska przyznanemu muzykowi Łukaszowi Sasko. Reżyseruje go Aleksander Skorupa, a zobaczymy w nim Monikę Janik, Wojciecha Marcinkowskiego i wspomniany zespół Ze Velocipedes w składzie: Łukasz Sasko, Adrian Kondratowicz i Przemysław Bartos.

Druga zapowiadana premiera to sztuka „Dajcie mi tenora”. Jej autorem jest Ken Ludwig, a tytuł oryginalny brzmi: „Lend Me a Tenor”. Reżyseruje ją Dariusz Gnatowski, znany m.in. z postaci „Boczek” z serialu „Świat według Kiepskich”. W obsadzie aktorskiej zobaczymy: reżysera Dariusza Gnatowskiego, Wojciecha Marcinkowskiego, Monikę Janik, Igora Chmielnika Jerzego Karnickiego, Hannę Piotrowską, Martę Turkowską, Bożenę Borek i Krzysztofa Kluzika.

Jest to bestsellerowa komedia mistrza broadwayowskich hitów Ken’a Ludwiga! Tekst zawiera wszystko, czego wymaga się od tego gatunku: wątek miłosny, zazdrość, niezliczoną ilość pomyłek bohaterów uwikłanych w nieziemskie kłopoty i fabułę pędzącą w szalonym tempie.

Premiera spektaklu zaplanowana została na 19 maja br.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Legenda o herbie Główczyce



Główczyce, serce zielonej cichej okolicy, owiane morskim wiatrem emanuje życzliwością ludzi, na tym niespokojnym dziś świecie.

Główczyce to stara pomorska, słowiańska osada przecięta rzeczką Pustynką. Pierwszy kościół w tej miejscowości powstał w 1062 roku, co świadczy o dawnych korzeniach chrześcijańskich. Dawno, prapradawno temu szli z południa Polscy mnisi z pielgrzymką do główczyckiego kościoła. Szli przez zielone łąki, żniwne złociste pola, modląc się żarliwie do Pana wieków. Po drodze spotkali żeńców z sierpami, którzy z mazołem zbierali pszenicę, żyto i proso. Ci serdeczni ludzie, poczęstowali pielgrzymów bochnem pachnącego chleba i mlekiem. Znużeni zasnęli nad brzegiem Pustynki w cieniu zarośli. Wszystkim przyśnił się cudny sen, otóż widzieli gromadkę aniołów, którzy nie mieli białych skrzydeł, lecz różowe. Podobne do motyli, rajszych ptaków. W świetle księżycowym ten cudowny obraz zajaśniał im niebiańskim pięknem. Anieli zaśpiewali im pieśń o pięknie główczyckiej ziemi, polach i łąkach, lasach i pagajach. Prosilili o bło-

gosławieństwo dla tych rozszlanych pól. Oto jak wielbili główczyckie pola:

*Pola to święta księga
W której wyczytać możesz
Prawdę o życiu, które sięga
Przeszłych odległych wieków
Strofy siewem wypisane
Mówią o pracy i sile człowieka
Zagon po zagonie
Wyszywany rozchodnikiem na miedzach
Poradzone broną cierpią
By wytrysnąć złotem kłosów
Szumiących jak skrzydła aniołów*

Kiedy wypoczęci pielgrzymi zbudzili się, ujrzeni nad sobą w górze orła i stado dzikich gęsi. Zachwyceni wspinali się na górę Głowa, gdzie stał kościół wznoszący się nad okolicą. Owiał ich rześki wiatr od morza, zaszumiał las. Koło kościoła spotkali wysokiego mężczyznę ubranego w lniane ubranie, przepasane czerwoną krajką, który otworzył im wielkie drzwi, a oni upadli na kolana, modląc się wraz z mnichami za szczęście tej urokliwej krainy. W głębi kościoła paliły się woskowe wielkie świece i roznosił się różany zapach. Przypomnieli im się nocny sen i zamyślenie o Bożej mocy, wspominali bajeczną przygodę. Chaty mieszkańców Główczyce były schludne. Ludzie gościnni, zadziwiła ich duża ilość krzewów róż polnych, pachnących przepięknie. Wokół brzęczały pszczoły, gdyż było dużo lip. Bogata była i jest główczycka ziemia. Dlatego herb odzwierciedla złoto pól, pracę człowieka, błękit wód i nieba oraz potęgę wiary chrześcijańskiej.

*Główczyce, serce zielonej cichej okolicy
Owiane morskim wiatrem
Emanuje życzliwością ludzi
Na tym niespokojnym dziś świecie*

Tylko na cmentarzu śpią snem wiecznym ludzie. Którzy utrzymali wartość tej ziemi. Bliscy palą znicze modląc się za ich dusze, a dzwon majestatycznie głosi odwieczną chwałę Bożą.

Płynie przez Główczyce rzeka Pustynka. Jej bystre fale niosą nocą stare bajki. Ptaki wodne i wiatr rozgłaszają je po całej okolicy. Choćby o okrutnym kasztelanie, który mieszkał gdzieś hen daleko na Górze Zamkowej.

Źle obchodził się z poddanymi ze swych wiosek. Pręgierz, gąsior i szubienica stały się narzędziami zbrodni. W czasie pewnej uczty w noc Sylwestrową kazał ścigać wszystkich więźniów. Wtedy zerwał się straszny wiatr i uniósł w górę zabudowania dworskie i rzucił je na dno Łebskiego jeziora.

Podobno jeszcze sto lat temu rybacy w wodnej toni dostrzegali ruiny i zgłiszczu zamku okrutnego pana. Podobno jednemu z nich udało się bosakiem uchwycić furtę żelazną. Prapradawne to były lata. Lud puszcząński pod Główczykami, żył swobodnie nie mając nad sobą żadnej władzy, oprócz rodowej starszyny i dalekiego księcia. Nieprzebyty bór dostarczał malin, jagód, jeżyn, grzybów, drewna na opał. Szli główczyccy chłopci w głęboką knieję, by dzikim pszczołom podbierać miód, zgromadzić zapasy orzechów na zimę lub zacząć się na ogromnego żubra z oszczepami. Wierzyli w pogańskiego bożka Belbuka. Jemu poświęcili urodzajne pola i rozległe lasy. Składali mu wielkie plastry miodu, zwoje bielonego płótna, swe radości i smutki.

Siedzieli przy posągu kapłani i wróże, którzy przekazywali zainteresowanym wyroki. Trwało to do chwili, gdy do Główczyce wjechał na białym koni biskup Otton z Bambergu. Stanął przed gontyną Belbuka, obrócił się twarzą do zebranych i rzekł: koniec królowania pogaństwa. Mnisi przewrócili posąg Belbuka, pokropili zebranych święconą wodą i tak na tej pięknej ziemi nastąpiła pora wiary katolickiej. Na górze Głowa został zbudowany dostoyny kościół, który mimo pożarów, uderzeń piorunów stoi jak opoka nad okolicą. Inne czasy. Inne obyczaje, mimo wszystko wierni modlą się w świątyni za pomyślność swoją, pokój w naszej ojczyźnie i na świecie.

Emilia Zimnicka, Izbica



O matce, co wydała mnie na świat, można pisać tylko dobrze. Zresztą jakby było inaczej, nie pisałabym wcale.

Najmłodsza z córek Andrzeja i Rozalii Grzeszczaków, brunetka o pięknych długich włosach i pięknych zielonych, lekko skośnych oczach, nie tylko grzeszyła urodą, ale i była muzycznie utalentowana. Po ojcu Andrzeju odziedziczyła zdolności do śpiewu, a że miała piękny sopran o aksamitnej barwie, często występowała jako solistka w kościele na Witominie w Gdyni. Na każdym ślubie rozbrzmiewał jej anielski śpiew i nie zapomniane przez młodych „Ave Maryja”, pieśń, którą do tej pory słyszą moje uszy.

Mama bardzo lubiła śpiewać. I nie tylko pieśni religijne. W pamięci szczególnie mi utkwiły przyjazdy w miesiącach zimowych, kiedy okazjonalnie pojawiałam się na Witominie, aby nacieszyć się moją rodziną. Gdy po radosnych powitaniach i długich ciepłych rozmowach podczas kolacji, mama stojąc przy kuchni nuciła jakąś tradycyjną, ludową melodię. A potem poranki, gdy jeszcze dosypiałam pod puchową pierzyną, a ona raniutko rozpalala w piecu ogień pod kuchnią kaflową. Słysząc było trzask płomieni na suchym drewnie, powietrze w pokoju pomału ocieplało się, a mnie wybudzał jej półgłosny słodki sopranik, którym nuciła „Kiedy ranne wstają zorze”.

Na płycie już bulgotała przyjemnie mleczna zupa nazywana polewką lub zacierka na mleku, którą uwielbiałam i którą cała rodzina na śniadanie jadła ze świeżym chlebem.

No i... z boku na rozgrzanych kafelekach rósł dumnie rozczyń z drożdży, na niedzielną drożdżówkę z marmoladą.

Mama uwielbiała, nam dzieciom, robić takie kulinarne różne niespodzianki.

A propos niespodzianki... Nie mogłabym w tych wspomnieniach pominąć opowieści o przesmacznych, najczęściej w ramach nagrody otrzymywanych od mamy pampuchów. Klusek na parze, których kunszt przyrządzania pozostał tajemnicą do końca jej dni.

To wydarzyło się w marcu. Jakś tak przed moimi urodzinami, na świętego Józefa. Będąc w klasie maturalnej, wygrałam olimpiadę polonistyczną na szczelbu wojewódzkim

Pampuchy czekają

Rudy najwyraźniej także zaczął się denerwować. – Wysyp wszystko ze swojej torby na stolik! – wrzasnął. No chyba go posrało. Jeszcze będzie mi grzebał w brudnych majtkach?! – Opanowując strach i powoli odzyskując wiarę w siebie, chciałam mu to wykrzyczeć, ale ugryzłam się w język.



w Kołobrzegu. Po odczytaniu wyników i wręczeniu dyplomu za zajęcie pierwszego miejsca, jak najszybciej tą radością chciałam się podzielić z najbliższymi. Szczególnie mi zależało na mamie Jance i mamie Marysi.

Wróciłam do Wałcza, w pośpiechu wrzuciłam do torby parę osobistych rzeczy, zabrałam dyplom i... pamiętnik, na wypadek, jakby ktoś chciał mi się wpisać. Wszyscy wtedy żyliśmy czasem zbliżającego się szkolnego rozstania.

Ponieważ wcześniej tego wyjazdu nie planowałam, musiałam jakoś o nim moje mamy uprzedzić. Poczta znajdowała się blisko internatu, więc postanowiłam zadzwonić z poczty. Wtedy nie było to takie proste jak dzi-

siaj, o komórkach nawet jeszcze nikt nie marzył. Trzeba było wczekać się w kolejce, by podejść do specjalnego pocztowego okienka i w nim zamówić rozmowę przez tradycyjny telefon. Aparaty rozmieszczone były w otwartych (bez drzwi) kabinach, z których każda miała swoje kierunkowe przeznaczenie.

Na zamówioną rozmowę też trzeba było czekać. Gdzieś po godzinie, a może i dłużej, usłyszałam wreszcie: – Gdynia na linii! Kto zamawiał? Kabina trzecia!

Zrywając się z ławki, na której czekałam na holu, pomknęłam w kierunku telefonu i chwyciłam za zimną, sfatygowaną już mocno, metalową słuchawkę.

Mama jakby przeczuwała, że zadzwonię. - Dzień dobry córeczko! Mów szybko, jak ci poszło?!

Słowo szybko było powszechnie używane, bo... Nie tylko czas rozmowy przekładał się na opłatę za rozmowę, liczyło się też to, ile trwało przywołanie tego, z którym chcieliśmy rozmawiać. Rozmowy z poczty były drogie, a do tego wiadomo, w domu moich rodziców telefonu nie było, musiałam zamówić rozmowę z przywołaniem.

Zamawiało się numer telefonu sąsiada, który takowy posiadał i z którym wcześniej się uzgodniło, że w razie takiej potrzeby, będzie z jego pomocy można skorzystać. Ja dzwoniłam na numer właściciela masarni pana Ciszka, on jeden na naszej ulicy dysponował telefonem.

- Mamusia! Świetnie mi poszło! Bez żadnych przeszkód, rozumiesz?! Słyszysz mnie?! Hallo! - zaczęłam się denerwować, bo w słuchawce pojawiły się jakieś trzaski, bałam się, że rozmowa zostanie przerwana, a na dalsze czekanie nie miałam już czasu.

- Zosia, jesteś tam?! - usłyszałam po chwili także zdenerwowany głos mamy.

- Mamusiu jestem! Słuchaj! Zgodnie z planem będę na dworcu w Gdyni Głównej po dwudziestą. - Ledwie to powiedziałam, gdy znów w słuchawce pojawiły się trzaski, a potem na krót-

ko sygnał, jakby rozłączenia. Pip, pip... i cisza.

- Mamo! Hallo! Mamo!

- No słyszę cię Zosieńko!

- Nie to jest najważniejsze! Pampuchy, rozumiesz?! Pampuchy niech na mnie czekają!

Chciałam jeszcze dopowiedzieć, że zasłużyłam sobie na tę jej szczególną nagrodę. Wyjaśnić, lub przynajmniej dowiedzieć się, czy ta moja ostatnia informacja do niej dotarła, ale tym razem już naprawdę w słuchawce pojawił się długi sygnał rozłączenia.

Byłam wściekła, bo nie dość, że nie miałam pewności, czy mama mnie słyszała, to straciłam sporo czasu i zapłaciłam za rozmowę ekspresową z przywołaniem, co bardzo nadszarpnęło mój i tak skromny budżet uczniowski. Po wykupieniu biletu na kupno bułki już mi zabrakło. Tego dnia byłam tylko po śniadaniu, a tu jeszcze... cztery godziny jazdy do Gdyni.

No cóż, muszę to wytrzymać. Mój tato i tak mi znów powie, że wyglądałam, jak niedotuczona gęś. - Przeliczałam pozostałe mi drobne i ucieszyłam się, że nie jest tak źle do końca, bo zostało mi jeszcze akurat tyle, by za nie kupić sobie dropsa - miętusa.

Mama rozumiała mnie w pół słowa. Na pewno, w nagrodę, będą te „kluchy na łaclu”. Bielutkie, pulchniutkie pampuchy - częstując się mię-

tusem, rozmarzyłam się w pociągu, zajmując wolne miejsce przy oknie.

Szkoda, że nie zabrałam ze sobą parasolki - pomyślałam jeszcze, spoglądając na nadciągające chmury i obserwując, jak na szybie pojawiają się pierwsze krople deszczu.

Nabita bogactwem wrażeń tego dnia głowa zaczęła mi ciążyć, aż wreszcie zdrzemnęłam się. Pamiętam, że szczęśliwa nawet z tego powodu, że przespałam większą część trasy, wysiadłam wreszcie w Gdyni Głównej.

Było po godzinie dwudziestej, zawiewał przenikliwy zimny wiatr, a ja miałam już na sobie wiosenny płaszcz, który wbrew wcześniejszym moim oczekiwaniom, wcale wiosny nie przyspieszał.

Brrr - wzdrgnęłam się i dopinając poły, przerzuciłam pasek torby podróżnej przez ramię, rozglądając się, czy nie spotkam kogoś znajomego. Za mną wysiadł z wagonu konduktor, a razem z nim sokista.

- Poczekaj! - któryś z nich rzucił głośno w moją stronę.

Zaskoczona spojrzałam na nich z uwagą. Co to za zaczepki? - zdążyłam jeszcze pomyśleć. Sokista zastąpił mi drogę.

- Podaj, jak się nazywasz?! - prawie ryknął mi w ucho.

- Jak się nazywam? A czemu? Piwowarska Zofia się nazywam - wystraszona wydusiłam z siebie.



- Aha. A twoja matka?
- Ligocka Maria.
- Aha. A ojciec?
- Ojciec? Ojciec się nazywa Ligocki Kazimierz.

- Ojciec Ligocki, matka Ligocka, a ty ich córka Piwowska... Tak?!
- znów zawarczał podniesionym głosem.

- No tak. A co? Mój Boże, stało się coś z nimi?

- Co za głupie pytanie i co ty kręcisz, młoda?! Raz jeszcze pytam, jak się nazywasz?!

- Nazywam się Piwowska, Zofia.

- I to ty dzwoniłaś po południu z Walcza do matki?!

- No, ja dzwoniłam.

- Do matki, która, jak twierdzisz, nazywa się Ligocka?!

- No tak.

Strach paraliżował mnie coraz bardziej. Strach, że przede wszystkim coś niedobrego mogło się wydarzyć moim rodzicom, nie pozwalał mi zastanowić się nad tym, że należy od razu wyjaśnić im, skąd bierze się rozbieżność pomiędzy moim i nazwiskiem rodziców. - Co oni ode mnie chcą? O co im chodzi?..

- Panna pozwoli z nami na dyżurkę! - sokista pokazał ręką na budynek przystajcyjnej przybudówki, w której znajdowała się miejscowa placówka milicji i chyba straży kolejowej także.

Nogi mi się zrobiły jak z waty. Już nie czułam zimna, ani głodu. Czułam strach.

W pomieszczeniu, w którym panował lekki półmrok, paliła się tylko jedna słaba żarówka, za stolikiem pod ścianą, na której wisiał orzeł bez korony i dwa portrety rządzących państwem, siedział rozparty na krześle jegomość w skórzanym płaszczu. Podniesiony kołnierz, rude, prawie różowe włosy z ulizanym na lewą stronę przedziałkiem i wygląd twarzy mężczyzny wyjaśniałyby od razu wszystko. Ja, niedoświadczona dziewczyna, nie miałam pojęcia, kogo ten gość reprezentuje i w jakim celu mnie do niego zaprowadzono.

Sokista usiadł obok niego i przysunął sobie pod rękę maszynę do pisania, która stała na drugim końcu stołu. Wkręcając w nią papier, zaczął wystukiwać moje dane osobowe.

- Niech panu powtórzy, jak się nazywa, bo na nasz widok zapomniała języka w gębie i zaczęła kręcić - zwrócił się do rudego.

- Ustaliliście, kto na nią czekał? - zapytał różowo-rudy.

- Rozglądała się, ale nikt do niej nie podszedł - wyjaśnił sokista.

- A co ona... wyjaśniła?

- Na razie nic. Kręci.

Rudy zapalił lampkę na stoliku i skierował jej światło w moją stronę. Poczułam, jak zakręciło mnie w brzuchu i... przypomniałam sobie, że chciałam jak najszybciej dotrzeć do domu, bo dostałam okres. A na dodatek te skurcze... głodowe.

- No to jak? Niech mi tylko tu nie kręci! Jak się nazywa?!

Kwitując pytanie milczeniem, sparaliżowana strachem drżącymi rękoma wyjęłam z torby legitymację szkolną i położyłam rudemu przed nosem.

Rudy obejrzał ją i oddał sokiście, by spisał moje dane z legitymacji.

- Dzwoniłaś dzisiaj do Gdyni?

- Dzwoniłam, z poczty w Walczu, ale mnie rozłączono.

Rudy podniósł się krzesła, dłońmi oparł o stół i skierował głowę w moją stronę. Jego oczy zwęziły się w małe szparki. - No to wyjaśnij mi - wycedził przez zęby. - Kto miał na ciebie czekać na dworcu?

- Gdzie? Tutaj? Nikt. Przyjechałam do rodziców, oni czekają na mnie w domu.

- Czy ja pytam niewyraźnie?! Kto? - mówił powoli, jakby się bał, że go nie zrozumie - i ilu ich miało być? I co dla nich załatwiłaś?

Głupi, czy co? O co mu chodzi? - rzeczywiście nie mogłam zrozumieć, o co mnie pytają. Wzruszyłam ramionami, czując się bezradna.

Rudy najwyraźniej także zaczął się denerwować. - Wysyp wszystko ze swojej torby na stół! - wrzasnął.

No chyba go posrało. Jeszcze będzie mi grzebał w brudnych majtkach?! - Opanowując strach i powoli odyskując wiarę w siebie, chciałam mu to wykrzyczeć, ale ugryzłam się w język. Głód mi doskwierał, a brzuch bolał coraz bardziej.

Posłusznie wysypałam przed nim zawartość torby, składającą się z kosmetyczki, niedokończonego w ciągu dropsa miętusa, majtek, skarpetek, dużej paczki ligniny, opakowania tabletek z pabialginą, oraz pamiętnika i zwiniętego w rulon dyplomu z olimpiady.

Rudy najpierw dobrał się do mojego pamiętnika. Przewracał brudnymi paluchami karki jedna po drugiej

i czytał. Czytał i spode rudo-pomańcowego łba z uwagą spoglądał na mnie. Spoglądał i bezczelnie odginal zawinięte rogi na niektórych kartkach, w których najczęściej chłopcy ukrywali swoje tajemne serduszka, albo nawet wyznania. Chciało mi się krzyczeć. Nie, jeszcze nie wtedy. Jeszcze nie zebrałam w sobie na tyle odwagi, by zaprotestować. Chciało mi się po prostu płakać. I może bym się nawet rozplakała, gdyby nagle nie chwycił za rulonik mojego wyróżniającego dyplomu. Rozwinął i... po przeczytaniu jego treści, cmoknął z uznaniem.

Nie zwijając go z powrotem, podał mi do ręki. - To nie powiesz nam, ilu pampuchów miało czekać na ciebie? - zapytał.

- Pampuchów??? - Dopiero wtedy zaskoczyłam, o co im chodzi. - To..., to nie wiecie, co to są pampuchy? Mama na mnie miała czekać z pampuchami. W nagrodę za ten dyplom. Miała mi ugotować kluski na parze. Zaczy się pampuchy - pierwszy raz odważnie spojrzałam w oczy rudemu.

Sokista, uśmiechnął się głupio pod nosem i wyciągnął papier z maszyny. Położył go przede mną.

- Podpisz. To protokół ze śledztwa. Rudy odsunął mu jednak rękę z papierem na bok i spojrzał na zegar.

- Pakuj torbę i zmykaj. Zdażysz jeszcze na ostatni autobus.

W domu na Witominie byłam dopiero przed północą. Czekala tylko na mnie mama, reszta rodziny już spała. W drzwiach rozplakałam się.

- Na dworcu zatrzymali mnie na komisariacie jacyś... agenci. Wzięli mnie za kogoś... niebezpiecznego. Myśleli, że jestem jakimś szpiegiem, czy coś w tym rodzaju...

Mama ucałowała mnie i pokazała na stół.

- Opowiesz mi wszystko potem.

Na stole czekała na mnie kolacja i biała miska pełna pampuchów. A na krzeselku leżały nowe, zrobione na drutach przez mamę, wełniane skarpetki i rękawiczki.

Na sercu zrobiło mi się ciepło, jakby wróciło gorące lato. Podeszłam do mamy i mocno się wtuliłam w jej ramiona. Trwałam tak w przytuleniu, aż mnie wszystko puściło.

Przygoda z pampuchami długo potem była pożywką do żartów w rodzinie.

**Zofia Maria Smałowska
Bąkowo**



Fot. Archiwum Autora

Artystka wszechstronna

Artystyczna droga Wandy Botter nie była ułana różami. W młodych latach walczyła o przetrwanie, a w dorosłym życiu – zapewnienie egzystencji założonej rodzinie. Czy mogła ujawnić nieprzeciętne zdolności artystyczne?

Dziś może tylko wspominać, jak skomplikowane było jej życie do czasu uzyskania niezależności i oddania się całkowicie pasji artystycznej. Powie: - Moja rodzina pochodziła z Kresów, musieliśmy uciekać przed Ukraińcami, do Polski. Prawda jest taka, że Polska za czasów Hitlera dawała większe możliwości przeżycia, niż na obecnych terenach Ukrainy. Wychowywała mnie mama, jej marzeniem było, bym ukończyła zawodową szkołę gastronomiczną, albo chociaż nauczyła się szyc buty. Bo w Słupsku była duża fabryka obuwia. Jednak nauczyciele przekonali mamę, by umożliwiła mi dalsze kształcenie. Do Liceum Ogólnokształcącego Nr 1 w Słupsku zostałam przyjęta bez egzaminów. Byłam zdolną uczennicą, wykazywałam już w tym czasie duże zainteresowania plastyką i podejmowałam pierwsze próby malarskie. Dorosłe życie mnie trochę zaskoczyło i potoczyło się szybko. Wcześniej wyszłam za mąż, a to przekreśliło wszelkie możliwości



Fot. Archiwum Autora

poszukiwania drogi artystycznej. Musiałam pracować, wychowywać dziecko, a potem jeszcze opiekować się niepełnosprawną matką. Mało malowałam, bo nie było na to ani czasu, ani możliwości.

Decydującym momentem w moim życiu było poznanie drugiego męża - Holendra. Miałam trzydzieści kilka lat, kiedy wyszłam powtórnie za mąż. On też malował. Przyjechał któregoś pięknego dnia z farbami, sztalugami i po kilku kieliszkach wina, wzięłam znowu do ręki pędzel. I tak rozpoczął się piękny rozdział mego życia, który trwa do dzisiaj. Mąż zachęcał mnie do malowania, kupował potrzebne materiały. Miałam już czas i pieniądze.

Były początki lat 90-tych i w Polsce pojawiły się mądre podręczniki o tym, jak malować. Kupowałam je i pochłaniałam wiedzę. Początkowo próbowałam malować akwarelę, stosować suche pastele, potem zaczęłam uprawiać malarstwo olejne. Uczyłam się wykorzystywania oświetlenia w tworzeniu obrazu, mieszania farb, uchwycenia perspektywy. Zaskakiwało mnie, że można na płaskiej powierzchni wyczarować głębię obrazu i coś jeszcze więcej. Coś można pokazać dalej, a coś bliżej. Byłam zachwycona, kiedy malując najprostszy sześciąt czy kulę, udało mi się uzyskać jej trójwymiarowość.

Malarka przyznaje, że wykupiła wszystkie książki hiszpańskiego wydawcy i rysownika Jose M. Parramona. Chciała szybko nadrobić wszystkie zaległości i spróbować różnych technik malarskich. W 1999 roku poznała Stefana Morawskiego, słynnego słupskiego „Dziadka”, nestora malarzy i pojechała na pierwszy w życiu plener do Smóldzińskiego Lasu. Spotkała na nim wielu malarzy, z którymi przyjaźni się do dzisiaj: Wandę Kościelną, Helenę Has, Sabinę Banach, Henryka Jachimka, Michała Stroińskiego, Ksawerego Garbiczę i... Elżbietę Żołyniak - opiekunkę z ramienia Słupskiego Ośrodka Kultury malarzy nieprofesjonalnych, takich jak ona.

Dziś artystka maluje przede wszystkim olejami, głównie pejzaże i kwiaty. Tworzy malarstwo realistyczne i kolorystyczne. Oddaje barwę i zarys komponentów krajobrazu, malowanych kwiatów. Operuje subtelną, nakładającą się barwą, uzyskując melanż kolorów. Zachwyciły mnie dwie prace artystki z XX Międzynarodo-

wego Pleneru Malarskiego „Pejzaże Pomorza - u stóp góry Rowokół”. Pierwsza to obraz o tematyce marynistycznej, z ciekawą kompozycją linii brzegowej morza, z horyzontem w dali i nieboskłonem w błękitie ultramaryny z potężnymi białymi chmurami - cumulusami. Na pierwszym planie pokazany jest wał wydmy pokryty trawami i turzycami, przechodzący w monolit plażowego piasku. Druga praca to realistyczny krajobraz jeziora Łebsko. Na pierwszym planie ma-

byłam pół roku w Kanadzie. Znajomość obcego języka odgrywa ważną rolę w moim życiu artystycznym, bo pełnię też rolę tłumacza. Zaprzyjaźniłam się z Arturem Oliveirą i jego rodziną, nawiązałam kontakty z: Mario Rodrigezem, Fernando Narciso, Manuelą Chatel, Fernando Verissimo i wielu innymi malarzami. Współpraca Artura Oliveiry z Cartaxo w Portugalii z malarzami ze Słupska trwała od lat 70-tych ubiegłego wieku. Obywały się wspólne plenery w powiecie słup-



Fot. Archiwum Autora

my oczeret i piaszczysty brzeg jeziora, a w perspektywie wylania się tafla jeziora z linią horyzontu i całkiem inny nieboskłon, wywołany przez burzowe chmury; w oddali przenika rozproszone światło zachodzącego słońca.

- Weszłam do świata malarzy, w którym, mam nadzieję, pozostanę już do końca - mówi W. Botter. - Na plenerach w Polsce i w Portugalii poznałam artystów wybitnych i wspaniałych. Z moim mężem Holendrem rozmawialiśmy w domu po angielsku. Wcześniej

skim i w okolicach Cartaxo, w Portugalii. Artura nie ma już, ale inni artyści z Portugalii przyjeżdżają nadal do Słupska.

Witraże to druga pasja Wandy Botter. Ich tworzenie obecnie przeżywa renesans. Historycznie były umieszczane w oknach kościołów, a ich kolebką jest Francja. Chyba najpiękniejsze są w katedrze w Chartres i pochodzą z około 1150 roku. Szczytowy okres rozwoju witraży przypada na czas budowy wielkich katedr

gotyckich. Obrazy witrażowe składały się z tysięcy barwnych szkiełek oprawionych w ołów i układanych podobnie jak mozaiki, żeby ołowiane ramki stawały się jednocześnie konturami rysunku. Najwybitniejszym mistrzem nowoczesnego witrażu jest M. Chagall, który pracami na uniwersytecie w Jerozolimie i w prezbiterium kościoła St. Stephan w Moguncji otworzył zupełnie nowy rozdział w dziejach tego gatunku sztuki.

- Kiedy zaczynałam swoją przygodę z malarstwem, próbowałam

ców nie brakowało. Uważam, że moje witraże są przepiękne. Kocham kolory zmieniające się wraz z oświetleniem.

Techniki witrażu nauczyła się W. Botter przez Internet. Bardzo pomocna okazała się w tym znajomość języka angielskiego. Dzięki dofinansowaniu z Urzędu Pracy rozpoczęła działalność gospodarczą i udało się jej skompletować dobry warsztat..

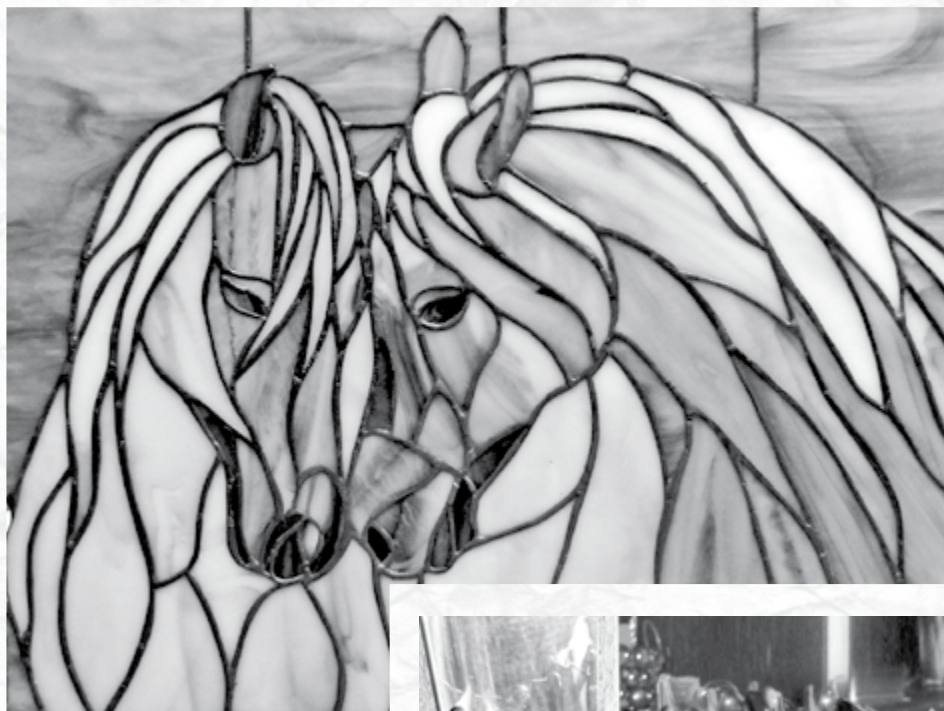
Artystka od najmłodszych lat przejawiała jeszcze zainteresowania fotografią. - Moją wielką pasją

re dokumentują artystyczne dokonania malarzy.

Artystka swoje obrazy prezentowała na zbiorowych wystawach poplenerowych. Szczególnie miło wspomina indywidualną wystawę witrażu w muzeum w Lęborku. Była jej największym sukcesem. Zwiedzających przyszło tak dużo, że nie mieścili się w sali. Prawie wszystkie witraże sprzedała.

Indywidualne wystawy miała także w Domu Kultury w Ustce, w Centrum Marynarki Polskiej w Ustce, w kilku bibliotekach. Bra-

ła udział w konkursach organizowanych przez Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. W 2006 roku zdobyła wyróżnienie w kategorii witrażu. W 2007 otrzymała od Starosty Słupskiego „Białego Bociana” za artystyczną twórczą aktywność. Uczestniczyła prawie we wszystkich plenerach organizowanych przez Klub im. Stefana Morawskiego w Słupsku. Również na tych, na które przyjeżdżali ar-



Fot. Archiwum Autora

też malowania na szkło - wspomina W. Botter. - Urzekło mnie światło przechodzące przez barwione szkło. Przez kilka lat sprzedawałam nawet namalowane witraże na promenadzie w Ustce latem, kiedy było tam pełno turystów, w skansenie w Klukach, w Swołowie, na jarmarkach organizowanych przez słupskie muzeum i na innych. Często jednak spotykałam się z opinią, że malowane szkło, to nie witraże. To mnie zmobilizowało, aby nauczyć się robić prawdziwe witraże. Wykonuję je w technice taśmy miedzianej. Dzisiaj jestem jeszcze bardziej zafascynowana tą dziedziną sztuki niż przed kilku laty, kiedy ją poznawałam. Zajmuję się głównie witrażami, a malowanie zeszło na dalszy plan. Tak szczęśliwie się złożyło, że mogłam uczyć się tej techniki i jednocześnie zarabiać na naukę, sprzedając swoje witraże. Nabyw-



Fot. Archiwum Autora

od wczesnej młodości było fotografowanie - mówi. - W latach siedemdziesiątych nauczyłam się robić zdjęcia, od początku do końca, tzn. w prowizorycznej ciemni urządzonej w kuchni sama wywoływałam filmy i robiłam odbitki. Dzisiaj łatwiej jest już uprawiać fotografię, stała się ona niemal powszechna. Wszyscy robią zdjęcia i niemal wszystko fotografują. Ja zwłaszcza na plenerach robię dużo zdjęć, któ-

tyści z Rosji, Danii, Niemiec, Węgier, Litwy, Białorusi czy Ukrainy.

- Ostatnio dużo podróżuję i trochę mniej jestem aktywna twórczo niż byłam jeszcze kilka lat temu. Ale ciągle maluję i robię witraże. Myślę też o wystawach indywidualnych w Polsce i zamierzam również zaprezentować je w Szwecji, gdzie ostatnio często bywam - zdradza swoje najbliższe plany W. Botter.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk



Gaming Room

i LAN Party w rolniczaku

Powiatowy Zespół Szkół Agrotechnicznych im Władysława Reymonta w Słupsku ma nową pracownię do gier komputerowych. Powstała dzięki wsparciu marki gamingowej Genesis. Odbył się już IV Rolniczak LAN Party – największe wydarzenie gamingowe w regionie.

Gaming Room to miejsce, w którym uczniowie podczas zajęć dodatkowych, pod nadzorem nauczycieli, będą trenować i przygotowywać się do udziału w turniejach e-sportowych. W przygotowanie pracowni zaangażowali się uczniowie klasy technik informatyk. Pod nadzorem nauczycieli samodzielnie złożyli nowoczesne komputery, zbudowali strukturę sieci, a nawet sami składali fotele gamingowe, malowali ściany i montowali dekoracje.

E-sport, czyli sport elektroniczny, to nic innego, jak rywalizowanie w grach komputerowych. Szacuje się, że w przyszłym roku e-sportem będzie się interesować na świecie 345 milionów osób. Obecnie jest to najszybciej rozwijająca się i jedna z najbardziej dochodowych dyscyplin życia publicznego. Organizowanych jest tysiące turniejów, lig i wydarzeń związanych z tym sportem. Podczas The International 2017, turnieju Dota2, pula nagród wynosiła 25 milionów dolarów. Na światowe finały Intel Extreme Masters, które od 5 lat odbywają się w katowickim spodku, przybywają setki tysięcy osób.

W powiatowym rolniczaku e-sport również cieszy się zainteresowaniem. Od kilku lat uczniowie uczestniczą w polskich imprezach e-sportowych, a nawet sami je organizują. Na przykład od 2012 roku, co roku uczestniczą w Poznań Game Arena. W 2015 roku pomagali w organizacji Gdynia Game Festival - 3-dniowej imprezy, podczas której odbywały się m.in. konferencje edukacyjne i technologiczne, warsztaty innowacji,

walki robotów, prezentacje dronów i drukarek 3D oraz turnieje e-sportowe. Byli odpowiedzialni za podłączenie i konfigurację sprzętu komputerowego oraz za wykonanie i nadzorowanie struktury sieci komputerowej.

Przyszli informatycy co roku organizują Rolniczak LAN Party - największą imprezę gamingową w regionie. W dniach 22-25 marca odbyła się już czwarta jej edycja. Rywalizowało ponad 350 zawodników, starając się o nagrody o łącznej wartości ponad 7 tys. zł. Podczas imprezy rozgrywane są turnieje najpopularniejszych gier e-sportowych.

Tegoroczna edycja była największa. W jej zorganizowanie i przeprowadzenie zaangażowało się wiele osób i instytucji, w tym ogólnopolska organizacja e-sportowa SUPER Game E-Sport (organizująca Mistrzostwa Polski w E-Sporcie) oraz Akademia Pomorska w Słupsku. Turniej FIFA18 odbył się dzięki słupskiemu salonowi gier wideo Game Center. Organizatorzy ogromne wsparcie otrzymali też od marki gamingowej Genesis, która m.in. dostarczyła sprzęt i ufundowała nagrody. Wszystkie mecze były transmitowane i komentowane na żywo w internecie. Należy dodać, że gry komputerowe poza spotem to też doskonała nauka zawodu. Rolniczak odnosi sukcesy na arenach e-sportowych. Zdobył I miejsce w Mistrzostwach Polski Szkół w E-sporcie w Gdyni w ub. roku. Jest również drugim wicemistrzem Wielkiego Finału Mistrzostw Polski Szkół w E-sporcie w Krakowie. Działalność Gaming Room'u i organizowanie imprezy LAN Party wiąże się z poszerzeniem oferty edukacyjnej ZSA - z utworzeniem nowego profilu e-sportowego dla kierunku technik informatyk. (L.W.)



Fot. SAS

Fot. SAS

Monachijska Królewska Akademia Sztuk Pięknych, od roku 1828 aż do początku I wojny światowej, była jedynym europejskim ośrodkiem nauk o sztuce, w którym studioowało ponad trzystu polskich artystów. Po stłumieniu powstań w 1830 i 1863 roku, i po represjach ze strony władz rosyjskich, a szczególnie zamknięciu jedynej uczelni artystycznej w Warszawie, młodzi Polacy szukali azylu politycznego i edukacyjnego, kształcąc się twórczo w Monachium.

Pierwszym polskim artystą, który został zapisany na uczelnię, był rzeźbiarz Karol Ceptowski (1801 - 1847) z Poznania. Jego nazwisko możemy odczytać w księdze immatrykulacyjnej Konigliche Akademie der bildenden Künste z roku 1828. Jednak pierwszym malarzem polskiego pochodzenia był Jan Baniewicz z Litwy, kształcący się w Monachium od roku 1832.

Do wybitnych artystów z Polski, którzy się kształcili w Monachium, a później przeszli do pantonu narodowych twórców, należą również m.in.: Józef Brandt (1841 - 1915), Adam Chmielewski (1845 - 1916), Józef Chełmoński (1849 - 1914), Władysław Czachórski (1850 - 1911), Julian Fałat (1853 - 1929), Maksymilian Gierymski (1846 - 1874), Aleksander Gierymski (1850 - 1901), Maurycy Gottlieb (1856 - 1879), Juliusz Kossak (1824 - 1899), Wojciech Kossak (1856 - 1942), Jan Matejko (1838 - 1893) i Stanisław Witkiewicz - ojciec (1851 - 1915).

Niektórzy przebywali w Monachium przez krótki okres, zwabieni słynną renomą uczelni, atmosferą studiów i dużą liczbą przebywających tutaj Polaków.

Jan Matejko po zakończeniu studiów w Krakowie w 1858 roku zapisał się na studia klasy natury (Naturklasse) u Hermanna Anschutza. Mimo że znalazł w Monachium swoje artystyczne ideały, to jednak uważał, że „studiowanie tam nie daje żadnych korzyści, nauka tutejsza niezmiernie nudna, nie dla nas, ciężka”. Artysta ten przebywał w Monachium, bo otrzymał stypendium z Akademii na okres od grudnia 1858 do października 1859 roku. W tym czasie rozpoczął malować swój pierwszy w pełni dojrzały obraz „Otrucie królowej Bony”.

Stanisław Witkiewicz przekazał w swoich książkach wiele wspomnień i opinii z Monachium, panującą atmosferę wśród Polaków. Wiedza nabyta z

Artyści polscy w Monachium

W roku jubileuszu odrodzenia Polski po 123 latach niewoli nie można zapominać o wielkich artystach – malarzach, którzy walczyli w powstaniach narodowych, a później utrwalali w swoich znakomitych dziełach wartości patriotyczne i wydarzenia z dziejów polskich. W tamtych czasach był to istotny artystyczny przekaz dotyczący historii Polski w obrazach i stanowił dla wielu pokoleń Polaków najważniejsze wartości w utrzymaniu świadomości narodowej.



Fot. D. Kostner / wikipedia.org

tych publikacji uzupełnia moje obecne kontakty z monachijską Akademią Sztuk Pięknych.

Józef Brandt, który wiele lat swojego życia zawodowego związał z Monachium, od 1873 roku prowadził w nim prywatną szkołę malarstwa, przez którą przeszło wielu Polaków, m.in. A. Wierusz-Kowalski, T. Ajdukiewicz, J. Rosen, W. Kossak, L. Wyczółkowski, J. Fałat. Stał się przy-

wódcą tzw. monachijskiej szkoły malarstwa polskiego. Tworzył przeważnie kompozycje batalistyczne, osnute na tle walk kozacko-tatarskich i wojen szwedzkich XVII wieku. Obrazy jego cechuje literackie ujęcie tematu, realizm szczegółów, swobodna kompozycja i mistrzowskie oddanie ruchu.

Od 1880 roku artysta ten tworzył pod wpływem nowego kierunku pleneryzmu. Poprzez małżeństwo z He-

leną z Woyciechowskich Pruszkową odziedziczył majątek w Orońsku koło Radomia, w którym hodował specjalnej rasy konie, jako modele do scen historycznych. W miesiącach letnich z kolegami - artystami organizował plenerową akademię malarstwa.

Jako von Józef Brandt do dzisiaj pozostaje wybitnym przedstawicielem szkoły monachijskiej, który dla nas jest również jednym z najsłynniejszych polskich malarzy historycznych. Muzeum Narodowe w Warszawie przygotowuje obecnie wystawę monograficzną Józefa Brandta. Ma być to pierwsza w historii polskiego muzealnictwa tak szeroko zakrojona prezentacja dorobku tego artysty. Będzie uświetniała obchody jubileuszu odzyskania przez Polskę niepodległości.

Przykładem łączenia się w grupy polskich malarzy, była na przykład nauka u Franza Adama - malarza koni i scen batalistycznych, u którego poza Brandtem kształciło się jeszcze ośmiu innych polskich malarzy, m.in.: Juliusz Kossak, Maksymilian Gierymski i Jan Chelmiński. Natomiast trzech wysoko oceniani malarze: Aleksander Gierymski, Władysław Czachórski i Maurycy Gottlieb obrali za temat swoich prac dyplomowych, u profesora Carla von Piloty'ego, wspólny motyw literacki zaczerpnięty z komedii Szekspira „Kupiec z Wenecji”.

Przykładem kariery monachijskiej jest wspomniany Władysław Czachórski, który po pobytach we Włoszech i Francji, osiadł na stałe w Monachium, gdzie jako Ladislaus von Czachorski stał się portrecistą zamożnych mieszczan i profesorem honorowym Akademii w Monachium.

Maksymilian Gierymski był studentem monachijskiej Akademii od 1867 roku. Jest wielce znany w Niemczech i w Polsce, jako realistyczny malarz batalistyczny. Malował motywy z powstania, również sceny z udziałem koni oraz myśliwskie w krajobrazie Mazowsza. W 1874 roku został honorowym członkiem berlińskiej Akademii Sztuk Pięknych. Jego młodszy brat Aleksander w Monachium studiował do 1872 roku, po czym udał się do Rzymu. Obrazy przedstawiające widoki z Monachium, powstały podczas jego późniejszych pobytów w tym mieście.

Najlepiej zapowiadającym się malarzem obdarzonym wspaniałym talentem był Adam Chmielowski,

który rozpoczął studia w Monachium w 1870 roku. Interesował się malarstwem Anselma Feuerbacha i kolekcją hrabiego Schacka. Malował w Monachium pełne nastroju miejskie nokturny, po powrocie do Polski - obrazy o tematyce religijnej. W 1887 wstąpił do zakonu franciszkanów jako brat Albert. W roku 1989 został kanonizowany jako św. Albert. Pisałem o nim w artykule „Dawać siebie i... być dobrym jak chleb” w Powiecie Słupskim nr 5-6/2017.

Od roku 1872, przez trzy lata, w Monachium studiował Józef Chelmoński. Pozostawał głównie pod wpływem francuskiego realizmu. Malował pejzaże, także polskie i ukraińskie oraz sceny myśliwskie i rodzajowe, przedstawiające życie wiejskie w swojej ojczyźnie.

Można dzisiaj się zastanawiać, dlaczego właśnie Monachium, stolica Królestwa Bawarii, w tamtych czasach było artystyczną kuźnią wielu polskich talentów? Ambicje władców bawarskich, a szczególnie Ludwika I (panował od 1825 do 1848 roku) przekształciły stolicę Bawarii we wspaniałe rozwijający się, jeden z najważniejszych w Europie ośrodków nauki i sztuki. Powstał cały kompleks zabytkowych budowli, liczne sale wystawowe, pomniki, założenia ogrodowe. Najważniejsze jednak było dla Bawarczyków gromadzenie niezwykle bogatych zbiorów artystycznych i udostępnienie ich zwiedzającym. Zebrano unikalne dzieła malarstwa europejskiego, tworzące słynną Alte Pinakothek i Neue Pinakothek. Atrakcyjność Monachium dla polskich studentów wynikała też z tego, że po powstaniu pinakotek oraz galerii hrabiego Schacka w roku 1862, a także dzięki istnieniu wielu prywatnych galerii, stolica Królestwa Bawarii była jednym z wiodących centrów sztuki w Europie i ośrodkiem ożywionego handlu sztuką.

Sprzyjająca malarstwu atmosfera w pracowniach monachijskich, organizowanie głośniejszych wystaw artystycznych przyczyniało się do dużego zainteresowania malarstwem. Zachowały się liczne wspomnienia studentów z lat 70. XIX wieku. Z jednego z zapisów z tamtego okresu dowiadujemy się, że... „liczna grupa Polaków jest zintegrowana, razem przygotowywała się do wystąpienia w międzynarodowych wystawach, wspomagala się wzajemnie i dzieliła wiedzą”.

* * *

Pod koniec ub. roku byłem w Monachium. Królewska Akademia Sztuk Pięknych mieści się w potężnej klasycystycznej budowlu przy ulicy Akademickiej. Gmach główny jest oddzielony od ulicy gankiem z wyniesionym podjazdem. Prowadzą tam również reprezentacyjne schody wejściowe do kolumnady i fasady budynku, które są obudowane po bokach dwoma cokołami z wizerunkami alegorycznych rzeźb. Wzrusza mnie chodzenie po tej świątyni sztuki, po której chodzili w młodości wielcy luminaarze mojej ojczyzny. Wielu malarzy - Polaków miało w rozkwicie swojego talentu własne, znane tutaj na całe Monachium pracownie, a niektóre z nich były utrzymywane aż do końca ich życia. Byli też uhonorowani tytułami profesorskimi Monachijskiej Akademii, jak Józef Brandt czy Ladislaus Czachórski. Artyści ci byli magnesem dla początkujących polskich młodych artystów nadciągających z kraju. Powstało pierwsze zupełnie nowe środowisko malarzy polskich za granicą w tak dużej skali. Polscy studenci nazywali stolicę Bawarii pieszczotliwie Mnichowem, albo bardzo pompatycznie Atenami nad Izarą. Na przestrzeni kilkudziesięciu lat, aż po schyłek stulecia, diaspora artystyczna skupiła niemal wszystkich wybitnych malarzy polskich.

Monachium dało polskim artystom szkołę, wykształcenie, nauczyło podstaw rysunku i techniki malarzkiej. Szczególnie wpoilo zasady dotyczące faktury i wykończenia obrazu. Proponowało wątki tematyczne, uczyło kompozycji, jak korzystać z arcydzieł sztuki dawnej, a także ze sceny teatralnej i z rekwizytorni.

Znaczenie Monachijskiej Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych i pozostałych działających prywatnych szkół malarstwa dla wykształcenia artystycznego malarzy polskich było ogromne i nie zawsze jest doceniane. Artyści tej miary, jak chociażby wymienieni przeze mnie malarze, stworzyli później polską szkołę malarstwa realistycznego, historycznego i specjalizowali się w scenach batalistycznych oraz w pejzażach. Dzięki nim i ich dziełom przetrwała świadomość narodowa w okrutnych czasach dla Polski znajdującej się pod zaborami.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk



Kontrowersyjny serial

Nowa produkcja Telewizji Polskiej pt. „Korona królów” wzbudziła ożywioną dyskusję wśród odbiorców serialu i krytyki. Mimo że jest to tasiemiec historyczny, emitowany w krótkich odcinkach, to poprzedzający zwiastun produkcji, codzienna reklama serialu i dodatkowo wystąpienie prezesa TVP, zrobiły swoje i przekonały widzów do jego oglądania.

„Korona królów” jest pierwszym serialem telewizyjnym poświęconym średniowiecznej historii Polski. Właśnie wydarzenia tamtych czasów posłużyły za fabułę do nowej telenoweli historycznej, która rozpoczyna się w 1333 roku. Jest to знаmienna data w historii Polski. Wtedy umiera bowiem król Władysław Łokietek, zmęczony walką o zjednoczenie podzielonej na dzielnice Polski, a na tronie zasiada jego jedyny żyjący syn - Kazimierz.

Paweł Jasienica w książce „Polska Piastów” tak pisze o pierwszym królu pochowanym na Wawelu, Władysławie Łokietku: „Wiele Polaków zapisanych przez historię przerastało go geniuszem. Łokietek uczył się, jak długo żył, z prowincjonalnego książątka wyrastając na polityka okiem i sercem ogarniającego cały kraj. Lecz wątpić można, czy w całych naszych dziejach znajdzie się przykład takiej mocy charakteru”.

Łokietek przeżył 72 lata i prawie przez 45 lat toczył kolejne bitwy, oblegał grody lub ich bronił, był władcą, który dążył do zjednoczenia Królestwa Polskiego w trudnych czasach. Córkę wydał za króla Węgier, a syna Kazimierza ożenił z Litwiną, aby

wzmocnić sojusze poprzez politykę dynastyczną. Jest jedynym królem Polski, który posiada przydomek Wielki, jest postacią ciekawą i barwną. Jego polityczne osiągnięcia są nie do przecenienia i wniosły wiele cennego dla stabilizacji i rozwoju państwa polskiego.

Fabuła serialu skupia się więc na losach Kazimierza Wielkiego - ostatniego króla z dynastii Piastów na polskim tronie, na politycznych intrygach o władzę, jak i na relacjach króla z jego dworem. W tle mamy miłość i miłostki, dworskie intrygi i hipokryzję, trudne relacje Kazimierza z żoną Aldoną - Anną, zdrady i ciągłą walkę o wpływy. W rolę Kazimierza wcielił się Mateusz Król. Władysława Łokietka zagrał Wiesław Wójcik. Aldonę - Annę - żonę Kazimierza kreuje Marta Bryła, a matkę Jadwigę - Halina Łabonarska.

Rodzi się pytanie, w jakim stopniu serial ten uwzględnia realia tamtych czasów? Może się wydawać, że było to podstawowe zadanie dla scenarzysty i reżyserów, którymi są Wojciech Pacyna, Jacek Sołtysiak i Jerzy Krysiak. Nie kusząc się o odpowiedź, można z góry założyć, że serial ten i tak przyczyni się do większego zain-

teresowania Polaków historią Polski.

Główne uwagi krytyczne dotyczą samego scenariusza, w którym - jak się uzasadnia - założono ograniczenia wynikające z małego budżetu przeznaczonego na produkcję serialu. Pojawiły się zastrzeżenia, że w pierwszych odcinkach montażyści się nie popisali, bo poszczególne wątki zostały posklejane niespójnie, powodując dezorientację u widzów - o co w filmie chodzi? Zarzucono też serialowi, że mało wyraziście zostały zarysowane główne postaci. Najlepiej została obsadzona rola Jadwigi - żony Władysława Łokietka, grająca ją aktorka stworzyła kreację, która się zdecydowanie wybija z pozostałych ról. Natomiast grający dobrodusznego Łokietka Wiesław Wójcik nie mógł się wykazać aktorskim talentem, bo zgodnie ze scenariuszem, był ciągle zmożony chorobą i spoczywał w łóżu. Pozostali aktorzy nie wyróżniają się, grają swoje role tak, jakby grali we współczesnej telenoweli.

Widzów zraził też język Aldony, która w dialogowych partiach ma kłopot z wymową w języku polskim. Mnie on nie razi, zakładam, że reżyser w ten sposób chciał zaznaczyć litewskie pochodzenie Aldony, a krytyka

niesłusznie zarzuca jej seplenienie.

Ocena serialu dokonana przez gazetowych krytyków jest drastyczna i można zastanawiać się też, czy słuszna, bo serial podoba się jednak widzom, rośnie jego oglądalność i zainteresowanie odległą historią Polski. Czy jest ona współmierna do pracy włożonej przez wszystkich realizatorów telenoweli? Krytyka zarzuca, że: „Wykonanie techniczne razi po oczach swoim kiczem i niechlujstwem. Kostiumy wyglądają jakby były wypożyczone z teatru, dodatkowo aktorzy w groteskowych perukach i doklejonych brodach wyglądają jakby wybierali się na imprezę karnawałową albo bal przebierańców. Scenografia jest niezwykle uboga, zdjęcia trącają amatorką, widać, że operatorzy nie mają pojęcia, jak filmować opowieści tego typu. Bez odpowiednich nakładów finansowych nie ma co się zabierać za takie kino”.

Uwagi te zostały sformułowane po obejrzeniu pierwszych kilkunastu odcinków, ale może w następnych te niedociągnięcia zostaną wyeliminowane? Ale też z drugiej strony, tej skomasowanej krytyce nie można się dziwić, jeżeli sam prezes TVP wielokrotnie zapowiadał serial jako „superprodukcję”, a nie zwyczajną telenowe-

Litwy. Tam m.in. nago kąpała się Aldona. Kręcąc zdjęcia filmowcy wykorzystali wielokrotnie Inowłódz, który otrzymał prawa miejskie za panowania Kazimierza Wielkiego w połowie XIV wieku. Tu wzniesiony został w tamtym czasie zamek inowłodzki, broniący północnej granicy Małopolski; strzegł on również brodu na rzece Pilicy. Drugim wykorzystanym w serialu zamkiem jest zamek w Bobolicach na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej. Do zdjęć wykorzystywano również kościółek św. Idziego, zbudowany na inowłodzkim wzgórzu w XII wieku. W nim były filmowane sceny chrztu Aldony i niektóre nabożeństwa.

Ale w sieci można napotkać też takie komentarze na temat tej nowej produkcji filmowej: „Scenografia jest biedna, całość strasznie rozwleczone, aktorzy są drewniani - nie polecam”. Niektórzy internauci po obejrzeniu pierwszych odcinków serialu nazywali go „superprodukcją specjalnej troski”. Odpowiedź twórców była szybka, ale niewiele wnosząca. Zamiast skupić się na wadach swojej produkcji, przerzucili winę na internetowych hejterów, którzy „jako zakompleksieni nieudacznicy życiowi krytykują wszystkich i wszystko”.

to scenarzystki, a jedną z nich jest Iłona Łepkowska, która napisała współczesne tasiemcowe serie: „Klan”, „M jak miłość” czy „Barwy szczęścia”.

Wiele z tych ocen jest pewnie słusznych, ale widzom to nie przeszkadza i - jak już wcześniej wspomniałem - oglądalność serialu ma dużą. Wirtualne media podają, że po emisji pierwszych pięciu odcinków wyniosła ona ok. 5 milionów, w tym 60 proc. oglądających stanowiły kobiety. Najwięcej, bo 30 proc. fanów serialu miało od 25 do 34 lat, niemal 20 proc. było w wieku 18-24 lata, a prawie 18 proc. miało od 35 do 44 lat. Można więc przyjąć, że fanami „Korony królów” są milenials, czyli pokolenie ludzi urodzonych w Polsce w latach 1984 - 1997, oswojonych z nowinkami technologicznymi i aktywnie korzystających z mediów i technologii cyfrowych, uznawane za generację zuchwałą, otwartą na nowe wyzwania.

Jakub Sufin z TVP, wypowiadając się na temat tego, co dzieje się wokół serialu, m.in. powiedział: „Niesłychane ożywienie na temat serialu w mediach społecznościowych, nawet nieuzasadniona krytyka, na pewno nam nie szkodzi. Wiele osób, które przeczytają opinię o „Koronie królów”, chce samemu sprawdzić serial”.

Z tego wynika, że jakby nie oceniać - dobrze czy źle, to w „Koronie królów” i tak drzemie potężny potencjał edukacyjny, którego nie powinno się zmarnować. Nawet przy całej jego niedoskonałości. Serial obejmuje ciekawy przedział czasowy w historii Polski i na jego przykładzie można stwierdzić, że największym problemem polskiego filmu jest nie tyle brak odpowiednich nakładów finansowych na produkcję, co brak zdolnych scenarzystów, którzy potrafiliby opowiedzieć w sposób profesjonalny i ciekawy interesujące nas historie.

W tym miejscu pewnie warto jeszcze dopowiedzieć, że tej tasiemcowej telewizyjnej noweli ma być w sumie ponad sześćdziesiąt odcinków. Później pewnie powstaną jeszcze następne. Spontaniczna dyskusja internautów i krytyczne uwagi recenzentów pod jego adresem, paradoksalnie są też dla tej telenoweli magnesem, który przyciąga coraz to nowych widzów chcących zobaczyć też te wszystkie niedoróbki i przy okazji pewnie też przypomnieć sobie historię średniowiecznej Polski.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk



lę. Jeśli tak, to krytyka ma prawo być nieugięta i wymagająca. Ponadto jest to film prestiżowy i ocena powinna być zawsze surowa.

Wybór lokalizacji akcji i zdjęcia plenerowe są wysoko oceniane. Część zdjęć była kręcona w powiecie tomaszowskim, nad rozlewiskiem Pilicy, na Niebieskich Źródłach. Nakręcono tam sceny nawiązujące do terenów

Pomijając hejterów, internauci i tak ocenili, że jest to bardzo zły serial i nie broni się pod żadnym względem. Wskazują również na wpadki związane z językiem, jakim się posługują bohaterzy, uważają, że jest on zbyt współczesny, a grane postacie są mało wyraziste i nieciekawe. W konsekwencji tworzą historię płytką, nudną i mało atrakcyjną. Internauci obciążają za

Księga przeznaczenia

Nigdy nie byłam w Objęździe, a mam wrażenie, że wiem o niej więcej niż o rodzinnej miejscowości. Za sprawą blogu objazdydy.blogspot.com i książki „Jeśli będziemy jak kamienie. Reportaże z Objazdy i okolic” Czesławy Długoszek niewielka nadmorska miejscowość mocno zaistniała na polskiej mapie geograficznej, historycznej i kulturowej.

Oczywiście Objazda na polskiej mapie istniała już od dawna, miała swoją niemieckojęzyczną historię jako Wobesde, nikt tego nie neguje, ale teraz - przynajmniej w mojej świadomości - zajaśniała jako miejsce mi bliskie i znajome, poznawane w podróżach w głąb czasu i w pejzaże okolic, do których autorka zabiera nas od lat na swoim blogu, a teraz w monograficznej „księdze przeznaczenia”.

Nieruchomość tytułowych kamieni jest przeciwieństwem losów większości bohaterów opisywanych na kartach książki, zwłaszcza mieszkańców będących potomkami repatriantów zza Bugu. Dlatego w tytule mamy warunkowe „jeśli”: jeśli ludzie byłiby jak kamienie, nie byłoby współczesnych mieszkańców Objazdy, ba! nie byłoby samej Objazdy, lecz nadal niemieckie Wobesde. Nie być kamieniem to znaczy żyć, spotykać innych, podejmować wspólną wędrówkę. Splątane losy powojennych nomadów sprawiły, że na nadmorskich terenach i tzw. Ziemiach Odzyskanych na nowo tkane były sieci relacji sąsiedzkich, stosunków społecznych i struktury gospodarcze. Odrębnym zagadnieniem jest także współlistnienie różnych form kultury lokalnej wyrosłej z różnych źródeł. Problematyka żmudnego wrastania w nowe środowisko,

tworzenia się nowego społeczeństwa, przeżyć emocjonalnych ludzi pozbawionych na zawsze stron rodzinnych, tworzenia na nowo tożsamości „małej ojczyzny” wielokrotnie ujawnia się w opisywanych losach poszczególnych postaci, w indywidualnych portretach dawnych i obecnych mieszkańców. W losach mieszkańców Ziemi Odzyskanych nie realizuje się jednak archetypiczny los Odyseusza, który wracał do swej Itaki, lecz - jak zauważa Adolphe Gesche - jest to linearny czas Abrahama, który na zawsze opuścił Ur udając się w nieznane: „Jak podkreślają historycy cywilizacji ten właśnie czas ukształtował Zachód z jego świadomością dokonywania odkryć, innowacji i postępu, gdzie nigdy nic nie jest dokończonych, zawsze jest coś do zrobienia, a przeznaczenie nie jest fatum, które zamyka przeszłość i przyszłość. Ten czas już nie pożera swoich dzieci jak czas cykliczny i grecki Chronos, ale zaprasza je do życia.”

Kiedyn dawnym miejscu nie było można żyć, w nowej ojczyźnie zaczęto budować nowe. Dzięki dociekliwości badawczej autorki zwykły opis czasów minionych czy proste relacje zostają wzbogacone o dokumenty pisane i fotograficzne, wspomnienia, kronikę, listy, urywki notatek sprzed lat. O bogactwie miejsca, regionu świadczą



jego mieszkańcy, toteż w książce Długoszek przede wszystkim poznajemy ludzi. Tych wyrzuconych z dawnych siedzib i tych, którzy przyjechali tu na roboty przymusowe, i tych, którzy osuwali świat wydeptując go ścieżkami. Wszyscy w jakiś sposób znaleźli swoje przeznaczenie w historii i przestrzeni. Dlatego nazwałam tę książkę „księgą przeznaczenia”, gdyż opowiada o tym, jak zwykli ludzie w nieodgadnionych losach podejmowali trud życia w obliczu nieznanej przyszłości. Książka pełna jest wzruszeń nad okrucami pamięci niesionej w przedmiotach codziennego użytku (lipowe łapcie) czy tradycji wyniesionej z domu rodzinnego (pieczenie chleba).

Od strony edytorskiej książka wydana starannie i wręcz monograficznie, z bogactwem starych i nowych fotografii dopełniających treść, z poetyckimi refleksjami samej autorki, indeksem nazwisk i indeksem miejscowości. Mało która miejscowość może poszczycić się tak wielostronnym i bogatym portretem, w którym mieszkańcy mogą odnaleźć dzieje swoich rodzin opowiedziane z takim pietyzmem i czułością. A przy tym rzecz niebywale bogata w fakty z jednej strony historyczne, a z drugiej dająca szeroki obraz życia współczesnego.

Książka Czesławy Długoszek mówi o ludziach, ale mówi też o miejscu, przyrodzie, morzu; mówi o historii i legendach, dając całościowy obraz społeczności w jej wymiarze materialnym, kulturowym i duchowym.

Iwona Danuta Startek, Biłgoraj

Czesława Długoszek: „Jeśli będziemy jak kamienie. Reportaże z Objazdy i okolic”, Starostwo Powiatowe, Słupsk 2018.

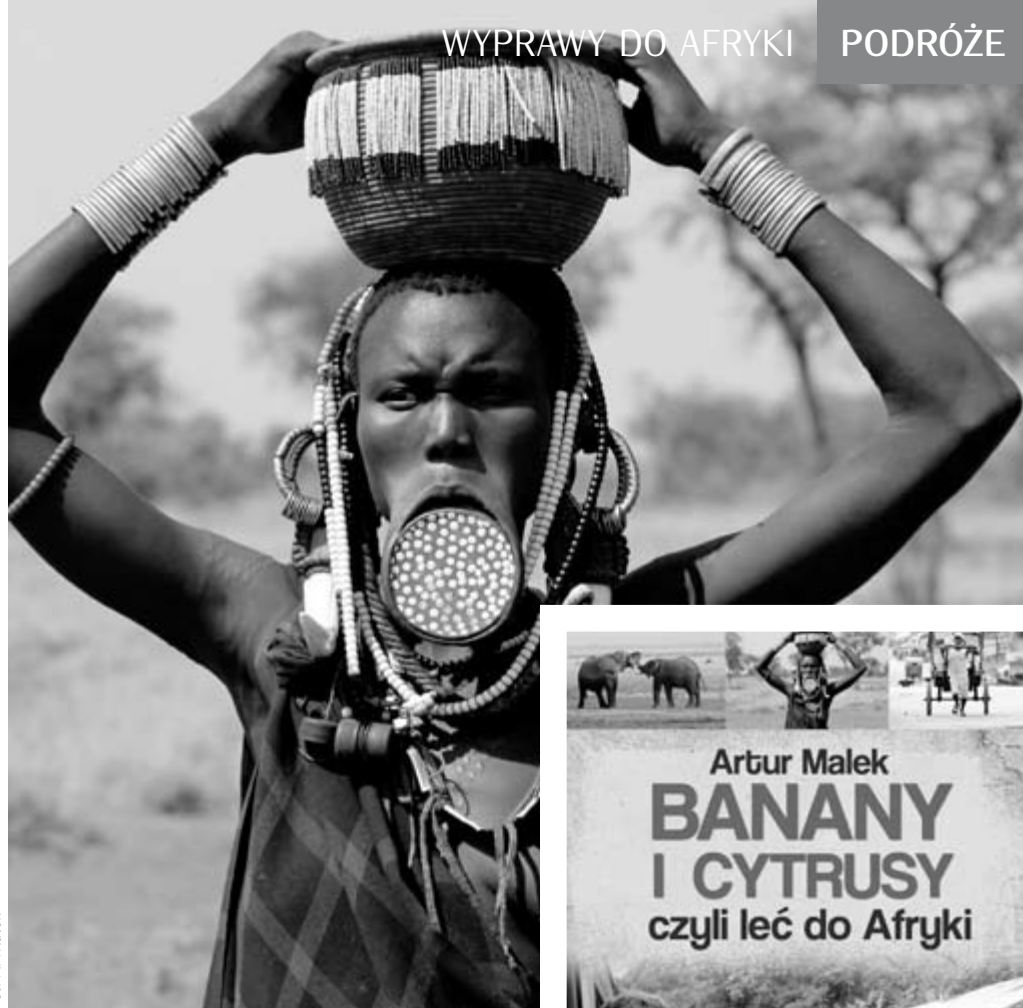


Fot. J. Maziejuk

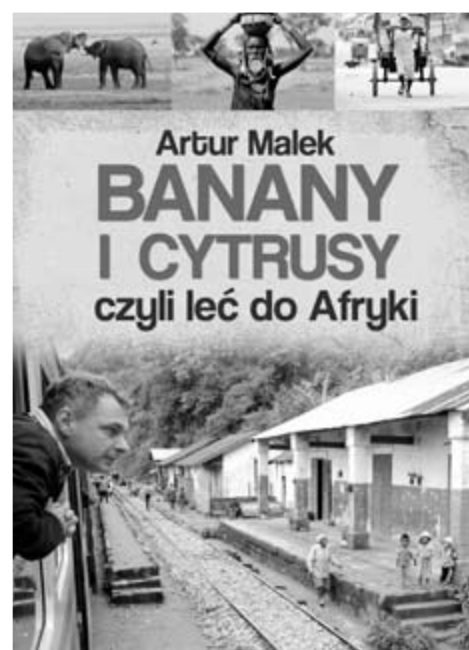
Książkę otwiera jednak ciekawy Prolog, który wyjaśnia przyjęty przez autora tytuł do cyklu książek „Banany i cytrusy”. Jest to spostrzegawczo uchwycona reminiscencja z okresu jego dzieciństwa, kiedy zamieszkiwał z rodzicami w Kołobrzegu. Były to czasy, kiedy banany nie były powszechnie dostępne w Polsce. Wątek ten przedstawia autor, jako świat marzeń dziecka, z myślą, aby w przyszłości dotrzeć do krajów egzotycznych, gdzie jest tych owoców bardzo dużo, a kraina ta jest miejscem ich naturalnego obrodzenia. Autor wspomina w niej też okoliczności pierwszego spotkania z tymi owocami. Nawiązuje również do swojej pierwszej trzykrotnej podróży do Azji, która z kolei zaowocowała książką „Banany i cytrusy, czyli jedź do Azji”. W książce obecnie wydanej przekazuje swoje wrażenia ze swadą, czasem operuje specyficznym „rubasznym” językiem, stosuje liczne i wyjątkowe określenia oraz porównania, które wzbogacają opisy o swoistą narrację i dodają szczególnego „smaczku” poszczególnym reportażom. Autor jest leśnikiem i w swojej książce jako specjalista prezentuje wnikliwe opisy egzotycznej przyrody, przybliżył nam wiele Parków Narodowych i ciekawych przedstawicieli miejscowej fauny. Etiopia – kraj afrykański, pierwszy zwiedzany przez autora, przez trzy tygodnie, został opisany wyjątkowo. Posiada bowiem bogatą historię, sięgającą, aż do wydarzeń biblijnych, dominuje w nim kultura chrześcijańsko-koptyjska, około 33 procent jego ludności to jednak wyznawcy islamu, a na południu zamieszkują jeszcze ludy o wyznaniu religii animistycznej. Jest to kraj, który się szczeni, że nigdy nie był kolonią i zawsze cieszył się niepodległością – oprócz agresji i okupacji włoskiej z 1936 roku. Z ciekawostek geograficznych Etiopii można wymienić występujące w niej pasma gór, które w większości pokrywają kraj, z najwyższym szczytem Ras Dashen, wznoszącym się 4543 metry nad poziomem morza oraz na północy położoną Kotliną Danakilską, uważaną za najgorętsze miejsce na świecie pod względem średniej rocznej temperatury.

Artur Malek w swojej książce pięknie charakteryzuje spotkaną rzeczywistość etiopską i ją opisuje. Do stolicy Addis Abeby tego ponad

Fot. A. Malek



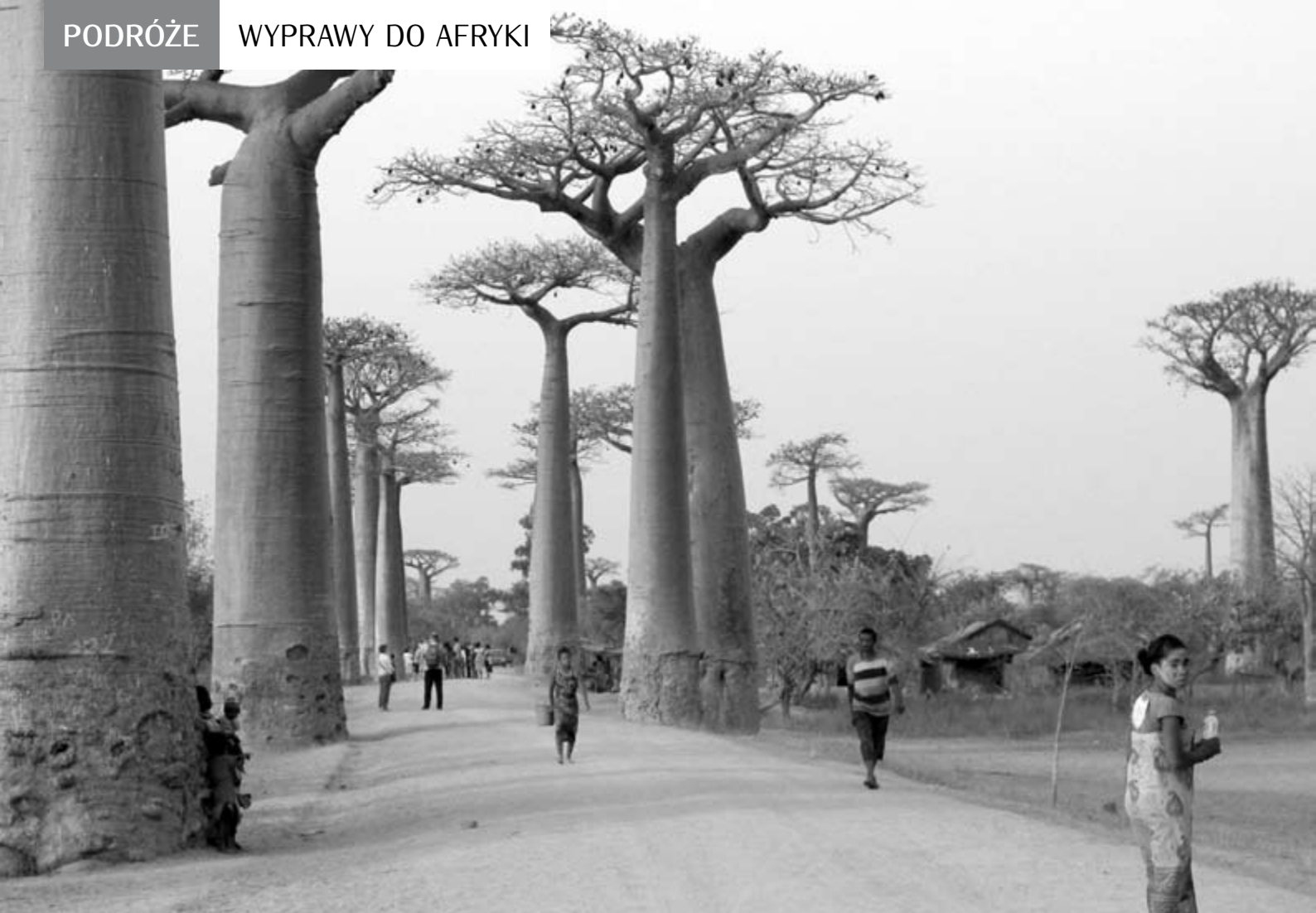
„Banany i cytrusy, czyli leć do Afryki”



Otrzymałem już drugą książkę Artura Malka z cyklu reportaży podróżniczych pt. „Banany i cytrusy, czyli jedź do Afryki”. Jej autor to mój ambitny uczeń, absolwent Technikum Leśnego w Warcinie. Pisałem o nim w Powiecie Słupskim nr 11-12/2014 w artykule pt. „Dobrobyt Norwegów jest widoczny”. Teraz otrzymuję od niego zbiór reportaży z kilku krajów dalekiej Afryki Wschodniej: Etiopii, Kenii, Ugandy, Rwandy, Tanzanii, Zanzibaru i Madagaskaru – jako wynik trzech podróży – odbytych w styczniu i wrześniu 2016 roku oraz we wrześniu 2017 roku. Taki jest również podział książki na określone części i rozdziały z bogatą załączoną ilustracją wyprawy.

80-milionowego państwa doleciał samolotem ze Sztokholmu linią Ethiopian Airlines. Stwierdza, że nie było jaka gratka lecieć całą noc i następnie, styczniowego dnia rano konfrontować się z dużym upałem, a właści-

wie żarem bijącym z rozgrzanej płyty lotniska Bole. Książka mimo woli jest przewodnikiem, prowadzi nas po stolicy państwa, potem po terenach prowincji zamieszkałej przez ludy plemienne, pokazuje unikalne zabytki



i ciekawostki przyrodnicze. Do osobliwości należą kościoły wykute w podłożu skalnym, wraz z kopułami, oknami, drzwiami na poziomie gruntu. Najsłynniejszą świątynię wykuto w Lalibeli, na północy Etiopii już w dwunastym wieku i jest ona uważana za ósmy cud świata.

Druga wyprawa Artura Malka do Afryki trwała miesiąc i miał on za cel poznać obszar dookoła Jeziora Wiktorii. Obejmowała państwa położone wokół tego największego afrykańskiego jeziora: Kenię, Ugandę, Rwandę i Tanzanię. Szczególnie polecam poczytać o Rwandzie. Jezioro Wiktorii jest największym jeziorem tropikalnym na świecie, odpowiada 22 procentom powierzchni Polski. Jego wody są terytorialnie podzielone pomiędzy trzy państwa: Ugandę, Tanzanię i Kenię. Tutaj dają początek i zasilają jedną z najdłuższych rzek w świecie - Nil. W Kenii podróżnik szczególnie przeżywa zwiedzanie Parku Narodowego w Amboseli i opisuje swój udział w prawdziwym Safari - spotkania z najgroźniejszymi ssakami Afryki: słoniami afrykańskimi, lwami, lampartami, nosorożcami czarnymi, bawołami. Jak się okazuje groźnym

zwierzęciem jest również hipopotam, który mimo że jest roślinożercą, to ma na swoim koncie wiele istnień ludzkich. Kenię zamieszkują Masaje, lud pasterski, wyróżniający się wysokim, smukłym wzrostem i wielką gracją. Podróżnik przybliży nam Muzeum Karen Blixen, duńskiej pisarki, której biografię znamy m.in. z filmu pt. „Pożegnanie z Afryką”. Znajduje się ono w starym domu, gdzie pisarka mieszkała w latach 1917 - 1931. W Tanzanii podróżnik podziwia imponująco wyglądający szczyt Kilimandżaro - nazywany „białym dachem czarnego lądu”, wznoszący się na wysokość 5895 metrów nad poziomem morza. Tanzania to trzykrotnie większy kraj od Polski, zamieszkiwany przez pięćdziesięciomilionową ludność. Autor przybliża tragiczny problem, dotyczący tego kraju. Mianowicie wśród miejscowej ludności rodzą się albinosi i żyje ich kilkaset tysięcy. Są prześladowani i uważani przez ludność, a szczególnie przez szamanów, za duchy. Istnieje przekonanie, że ich ciało ma tajemnicze moce. Często urządza się na nich prawdziwe polowania i napady, jako na ludzi dotkniętych bielactwem. Albinosi cechują się innymi tęczęwkami

oczu, mają białe, krótkie włosy i bladą różową skórę twarzy.

Podróżnik zwiedza stolicę Tanzanii Dar es Salaam, dużą metropolię zamieszkałą przez około pięć milionów mieszkańców. Miasto zostało założone przez sultana Zanzibaru w 1862 roku. Jest najludniejsze w tej części kontynentu, ma duży port, jest siedzibą rządu Tanzanii. Autor udaje się m.in. promem na wyspę Zanzibar - największą, należącą do Tanzanii. Stolicą wyspy jest Zanzibar, półmilionowe miasto ze słynnym Stone Town. Jest to Kamienne Miasto, stara dzielnica wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Rozdział ten trafnie nazwał „Różne twarze Zanzibaru”, bo w pełni oddaje on charakter i specyfikę tej wyspy.

Kolejnym krajem afrykańskim, który odwiedza jest Uganda. Zachwyca się jej niepowtarzalną zieleńią przeróżnej roślinności. Spotyka tu bananowce, palmy, poletka kukurydzy, manioku, sorgo, batatów, plantacje herbaty, kawy, bawełny i nieznanym mu jeszcze wielu innych roślin. Winston Churchill nazwał ten równikowy kraj Perłą Afryki. Z kolei Rwandę opisuje jako mały kraj, wiel-

kości naszego województwa wielkopolskiego, położony w sercu Afryki, zwany też krajem tysiąca wzgórz. Na jej obszarze znajdują się trzy parki narodowe. Najśłynniejszy - Park Narodowy Wulkanów położony jest przy granicy z Demokratyczną Republiką Konga i posiada jedyne stanowiska na świecie naturalnego występowania goryli górskich, największej małpy człekokształtnej. Autor w szczególnie sposób przekazuje w rozdziale „Ludobójstwo w Rwandzie” największą tragedię tego kraju z 1994 roku. Bratobójczą wojnę, a faktycznie mord ludności plemienia Tutsi przez plemię Hutu. Apokalipsa trwała trzy miesiące i pochłonęła od 800 tys. do miliona ofiar. Ludność ta ginęła od zadawanych ciosów od maczet, młotów i maczug. Ten piękny kraj jest niemal cały usiany zbiorowymi mogiłami, pomnikami i muzeami poświęconymi największemu współczesnemu ludobójstwu. Mord poprzedzono rozpętaną propagandą nienawiści i gloryfikacją niesławnych dziesięciu przykazań głoszonych przez Hutu. Autor książki dostrzega tu podobieństwo do dziesięciu przykazań, jakimi kierowali się ukraińscy nacjonałści na Wołyniu.

Autor książki odwiedza też dużą wyspę Madagaskar, kiedyś kolonię Francuską. Poświęcił jej trzy wrześniowe tygodnie 2017 roku. Są na niej rejony o bardzo niesprzyjającym mikroklimacie dla białego człowieka - występującej malarii, żółtej febry i jeszcze innych chorób. Przed wyprawą odradzałem mu podróży na tę wielokrotnie większą od Polski wyspę z przyczyn wyżej podanych. Jadąc tam obowiązkowo musiał się poddać kosztownym szczepieniom. Opisał je też szczegółowo, zanim wyruszył z Norwegii. Na malarię, czyli zimnicę szczepionki nie ma, dlatego podróżnik zaopatrzył się w repelent na komary z wysoką zawartością DEET. Dowiadujemy się, że odkrywcą tej czwartej pod względem wielkości wyspy jest polski podróżnik Maurycy Beniowski. Znajdujemy też inny jeszcze polski wątek, który wiąże się z powstaniem w okresie dwudziestolecia międzywojennego Ligi Morskiej i Kolonialnej. Zakładała ona między innymi wykup Madagaskaru od Francji i stworzenie dla Polski posiadłości zamorskiej. Artur Malek opisuje spotkania z lokalną społecznością. Zachwyca go jej przyroda. Spotyka tu

endemity - wyjątkowe gatunki roślin i zwierząt występujące tylko tutaj. Przybliża nam tę unikalność zwiedzanego obszaru i oprowadza po parkach narodowych. Park Andasibe - Mantadia zachowuje roślinność lasu równikowego. Występują tu liany, palisandry, drzewiaste paprocie, eukaliptusy i inna roślinność. Jest zamieszkały przez lemury, piękne zwierzęta występujące w naturze tylko na Madagaskarze. Podróżnik opisuje spotkanie z największym gatunkiem z lemurów - stadem indrysów krótkoogonkowych. Zwierzę to przypomina trochę małpę lub psa, a może też kota lub dużą wiewiórkę. W regionie Morondawy rosną słynne madagaskarskie baobaby, które przyciągają turystów z całego świata. Drzew olbrzymów w tej okolicy jest ponad trzysta, są ogromne, a pnie ich mają po kilka metrów średnicy. Potrafią magazynować wodę na okres suszy, nawet 120 tysięcy litrów!

Książki to bardzo ciekawa, ma charakter przewodnika i doradcy dla przyszłych podróżników, wybierają-

cych się do Afryki. Każdego zawsze ciekawią koszty takich wypraw. Autor podzielił je na trzy grupy; te związane z wyprawą do Etiopii - 7,5 tys. zł (z wizami, pamiątkami i biletami lotniczymi), do Kenii, Ugandy, Rwandy, Tanzanii i Zanzibaru - 9 tys. zł (z osobną opłatą za udział w Safari w wysokości 200 dolarów), oraz na Madagaskar - 7 tys. zł. Dodam: książka zawiera bogaty przekaz merytoryczny i wiele praktycznych porad do wykorzystania. Można z niej sporo się dowiedzieć, przygotować się do wyprawy, co z sobą zabrać, jak podróżować, zwiedzać indywidualnie czy grupowo? Autor uzasadnia w niej również wybór Afryki jako trasy wyprawy. Kończy ją wyzwaniem: „Czas, żebyście w najbliższej przyszłości spakowali plecaki... i ruszyli na Czarny Ląd. Ku przygodzie”.

Jestem dumny z mojego ucznia, już wielkiego podróżnika, nie tylko uczestnika opisanych wcześniej wypraw do Azji, ale też do Afryki.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk





Dzieje ostatnich władców

Kończąc pierwszy artykuł o Księstwie Słupskim, zmęczony wielomiesięcznym studiowaniem wszystkich dostępnych mi źródeł i przelewaniem na papier dziejów dwóch wybranych władców – Każka Słupskiego i Eryka I Pomorskiego – nie przypuszczałem, że nie minie miesiąc, a zabiorę się za pozostałych słupskich Gryfitów. Pisałem już o Bogusławie V – twórcy Księstwa i jego synach. Czas teraz na jego wnuka Bogusława IX, którego dzieje są bardzo ciekawe.

Bogusław IX był synem Bogusława VIII (kolejność tym razem nie myli i po śmierci ojca, mając około 15 lat, przez kilka lat rządził wspólnie z matką. Była nią Zofia, córka Henryka, zamożnego hrabiego Holsztynu (pisałem o niej w poprzednim odcinku). Ale cofnijmy się do roku 1416 i 1417. To w tych latach kuzyn Bogusława IX, Eryk I Pomorski, król Skandynawii doprowadza do wyboru Bogusława na swego następcę. Tak więc zostaje on sukcesorem – co prawda tylko nominalnie – Danii i Szwecji i oczywiście Księstwa Słupskiego, jako syn Bogusława VIII. Ale nie został oficjalnie następcą Eryka Pomorskiego, gdyż nie zgodzili się na to Skandynawowie i w latach 1436 oraz 1438, Eryk został zdeponowany (również i z tego powodu).

Eryk wiązał z kuzynem wielkie plany dynastyczne. Chciał mianowicie, aby Księstwo Słupskie i Skandynawia były w sojuszu z królem Polski mocarstwem na miarę Rzeszy, Anglii lub Francji. Od tych planów i ich rozmachu kręci się w głowie. Rachuby te upadły z dwóch podstawowych po-

wodów; Eryka zdeponowano, a Jagiello wreszcie miał syna Władysława. Przypomnę (pisałem o tym w pierwszym artykule w „Powiecie Słupskim” z września/października 2017 r.), że wśród wielu planów matrymonialnych było małżeństwo Bogusława z córką Jagielly – Jadwigą. (Jagiello był czterokrotnie żonaty, a pierwszą córką była Jadwiga Jagiellonka, przewidziana na królową Polski.) Planami matrymonialnymi Bogusława zajmowali się wielcy świata; papież, cesarz, Brandenburczycy, król Polski, a nawet Krzyżacy. Świadczy to dobitnie o znaczeniu Księstwa Słupskiego i samego księcia w tej części Europy. Po latach to właśnie starania króla polskiego zwyciężyły i Maria, córka Ziemowita IV (mazowieckiego) i Aleksandry, siostrzenicy Władysława Jagielly stała się żoną Bogusława IX. Historycy spierają się zarówno o termin, jak i miejsce ślubu. Odbył się on prawdopodobnie w 1433 roku w obecności Jagielly w Poznaniu na Wielkanoc.

Bogusław żył pod opiekuńczymi skrzydłami swego potężnego kuzyna Eryka Pomorskiego. Przyjacie-

lem Cesarza Północy, jak nazywano Eryka, był cesarz niemiecki i zarazem król Czech – Zygmunt Luksemburski, notabene ich kuzyn. Tymczasem Polska zawarła sojusz z Brandenburgią, wrogiem Eryka i Pomorza. Oburzony Eryk z właściwym sobie temperamentem natychmiast zawarł wraz z Księstwem Pomorskim sojusz z Zakonem. Nie zawiesił jednak do aktu pieczęci i jeszcze tego samego roku próbował skłonić dwór polski do zerwania układów z Brandenburgią (za Benedyktem Zientarą: „Historia Pomorza”, str. 292).

Losy Bogusława IX i Księstwa Słupskiego toczyły się w cieniu polityki Eryka i Jagielly, stryja żony Marii Mazowieckiej. Książę stał po stronie Polski przeciw Krzyżakom przez całe blisko trzydziestoletnie panowanie. Po ślubie z Marią wypowiedział im wojnę i wraz ze sprzymierzonymi wojskami czeskimi i rycerstwem wielkopolskim walczył przeciw krzyżackiej Nowej Marchii. Zdobyto Choszczno, Dobiegniew, Myślibórz, Złocieniec i Drawno (miasta leżące obecnie w województwie zachodniopomorskim).



Zamek w Bytowie.

Fotografia
Michał Słupczewski
Źródło: www.słupczewski.pl

Bogusław oblegał również Świdwin i Drawsko, ale bez rezultatu. Mszcząc się na księciu, Krzyżacy straszliwie splądrowali ziemię słupską (B. Zientara: „Historia Pomorza”, str. 293). W sumie Bogusław nic nie zyskał na tej wojnie, bo na mocy pokoju brzeskiego, zawartego w Brześciu Kujawskim 31 grudnia 1435 roku zarówno Księstwo Słupskie, jak i Polska musieli oddać zdobyte ziemie. Był to pokój, który zakończył wojnę z Krzyżakami. Wygrał Jagiello i Witold, a przegrali Żmudzini sprzymierzeni z Krzyżakami i... Księstwo Słupskie, choć było wiernym sojusznikiem Polski. No cóż, polityka była, jest i będzie brudna...

Jeszcze kilka razy Bogusław IX brał udział w konfliktach zbrojnych z wrogami Księstwa do końca pozostając wierny Polsce. Zmarł 7 grudnia 1446 roku. Co ciekawe, pomoc w chorobie ofiarował mu Wielki Mistrz. Proponował też hospitalizację w Oliwie lub w Królewcu, przysłał choremu księciu dobre wino, pitny miód i lecznicze mięso (za E. Rymarem: „Rodowód książąt pomorskich”, str. 338). Zmarł Bogusław najprawdopodobniej w Darłowie i został pochowany w klasztorze kartuzów. Miał około czterdziestu lat i nawet, jak na owe czasy, był młody. Był przystojnym mężczyzną, jak podaje profesor E. Rymar: „...rzecznicy Króla Zygmunta i Ery-

ka chwalili postawę i urodę Bogusława” („Rodowód książąt pomorskich”, str. 339). Schedę po nim przejęła żona Maria Mazowiecka i chociaż w zasadzie następcą jego był kuzyn Eryk I Pomorski, to ona przez trzy lata rządziła samodzielnie Księstwem.

Maria Piastówna

Tak więc na tronie pomorskiego Księstwa Słupskiego zasiadała - Piastówna! Jak chce profesor E. Rymar, a ja chętnie za nim powtarzam, „rezydowała w Słupsku” („Rodowód książąt pomorskich”, str. 343). Maria była osobą energiczną, o czym świadczy choćby fakt, iż Eryk powierzył jej kierowanie Księstwem i po przybyciu na Pomorze oddał jej we władanie zamek (gród) w Słupsku. I, jak twierdzą historycy, współrządziła Księstwem wraz z Erykiem do śmierci. Można bez większej omyłki powiedzieć, że zasiadała na słupskim tronie pięć lat.

Maria Piastówna zmarła w 1454 roku w Darłowie, a pochowana została w Słupsku. Miała lat około czterdziestu, a więc podobnie jak jej mąż Bogusław IX była stosunkowo młodą osobą. Po jej śmierci Eryk I Pomorski żył jeszcze lat pięć i odszedł z tego świata jako blisko osiemdziesięcioletni starzec. O jego burzliwym, ciekawym i długim życiu pisałem w części pierwszej („Powiat Słupski” z września/października 2017 r.).

Eryk II

Jak pamiętamy, zarówno Eryk, jak i jego niedoszły następca Bogusław IX (około czterdzieści lat młodszy, a zmarł trzynastą lat wcześniej) nie mieli męskich potomków. Już wcześniej, Eryk Pomorski chciał przekazać dziedzictwo córce Bogusława, pięknej Zofii, a na męża dla niej wybrał swego imiennika Eryka II, syna księcia wołoskiego Warcisława IX. Ślub odbył się w 1451 roku, a więc osiem lat przed śmiercią Eryka I. Zanim jednak został on księciem słupskim musiał w czerwcu 1459 roku przyrzec przed stanami państwa, że będzie bronił całości Księstwa przed zakusami braci Warcisława X i Ottona III, których wspierał elektor Brandenburgii Fryderyk II. Niestety, utracił na rzecz braci - w wyniku arbitrażu wspomnianego Fryderyka II - całą zachodnią część Księstwa. Pozostała przy nim jedynie ziemia słupska, sławieńska z Darłowem oraz ziemia białogardzka i szczecińska. Stało się to w 1461 roku.

W tym momencie trzeba wrócić do młodości Eryka II. Wychował się na dworze berlińskim elektora brandenburskiego Fryderyka II i to chyba zaważyło na nieufnym stosunku do Polski. Jego stosunki z Królestwem Polskim przebiegały różnie. Nie wziął przykładu ze swoich poprzedników i nie stał cały czas przy polskim boku przeciwko Krzyżakom. Początkowo wziął stronę polską i otrzymał za to „do wiernych rąk” ziemię lęborską i bytowską w 1455 roku. Ale już po pięciu latach, gdy Krzyżacy oblegali Lębork wszedł z nimi w porozumienie i oddał im bez walki obydwie tereny. Polacy odpowiedzieli spaleniem i obrabowaniem Szczecinka. Musiała Eryka ratować żona Zofia, która przybyła do obozu króla Kazimierza Jagiellończyka pod Chojnicami, prosząc o wybaczenie dla męża. Bądź co bądź była kuzynką naszego króla, który musiał jeszcze kilka razy wybaczać Erykowi, chyba z natury wiarołomnemu. W końcu zgodził się, aby Eryk wykupił ziemię lęborską i bytowską w 1466 roku. Nie zgodził się natomiast na objęcie Człuchowa, Chojnic i Starogardu. Odważył się nawet książę Eryk przybyć do Bydgoszczy na spotkanie z królem, pewnikiem w towarzystwie Zofii, której pro Polska postawa i sympatia mieszkańców Księstwa była znana (B. Zientara: „Historia Pomorza”, str. 296-297).

Chcąc przychylnie usposobić do siebie króla, Eryk poprosił, aby jego syn Bogusław (późniejszy Bogusław X Wielki) wychowywał się na dworze wawelskim wraz z synami króla - Janem Olbrachtem, Aleksandrem Jagiellończykiem i Zygmuntem Starym, przyszłymi królami Polski oraz innymi dziećmi Kazimierza, który z Elżbietą Habsburżanką, zwaną Rakuszą i Matką Królów, miał ich trzynastoro! (Sześciu synów i siedem córek.) Kazimierz Jagiellończyk zgodził się, bo miał Bogusława jako zakładnika wierności ojca, a poza tym jedno dziecko więcej nie robiło różnicy królowi i pewno też wychowawcy synów, kronikarzowi Janowi Długoszowi.

dzie w sposób przystępny i siłą rzeczy skrótowy o nim opowiedzieć. Ale spróbujmy. Urodził się, jako syn Eryka II i Zofii, w Słupsku w 1454 roku (przypomina o tym epitafium nagrobne w kościele zamkowym w Szczecinie). Jak wiemy, wychowywał się w Krakowie na królewskim dworze wraz z synami króla Kazimierza IV Jagiellończyka. Nie ulega wątpliwości, iż pobyt w Polsce zaważył na jego politykę, jako władcy Pomorza Zachodniego. Gdy miał lat piętnaście, w roku 1469 wystąpił w układzie z Meklemburgią, obok ojca, stryja i młodszego brata Kazimierza. Już pięć lat później ojciec planował wydzielenie

twem cesarza Ferdynanda III spór załagodzone. Bogusław złożył przysięgę lenną, zobowiązał się również do pomocy zbrojnej i poślubienia córki Fryderyka II, Małgorzaty.

Uporządkujmy fakty. Bogusław X - książę słupski i szczeciński objął Księstwo Wologojskie, tj. ziemie zaodrzańskie aż do granicy z Księstwem Meklemburgii na zachodzie i Brandenburgią na południu. Okres ten kończy czas Księstwa Słupskiego jako samodzielnego państwa w latach 1368 - 1378. Niemniej należy powiedzieć jeszcze kilka słów o Bogusławie Wielkim. Od 1479 roku jest lennikiem coraz potężniejszej Brandenburgii, którą niespełna 150 lat dzieli od połączenia z Prusami (powstała wtedy w 1618 Brandenburgia - Prusy). Ale na razie Bogusław radzi sobie nieźle. Jeszcze w 1477 roku, jako 23 latek ożenił się z Małgorzatą, zgodnie z przyrzeczeniem z poprzedniego roku. Małżeństwo było nieudane, a Bogusław zarzucał żonie niewierność i rozmyślne przerywanie ciąży. Pocięszal się konkubiną (konkubinami?) i miał syna Krzysztofa z nieprawego łoża. Małgorzata zmarła bezpotomnie w 1499 roku, a Bogusław zawarł związek małżeński z Anną, córką Kazimierza Jagiellończyka. Była piękna i mądra, a małżeństwo było bardzo udane. Królowa obdarzyła księcia aż ośmiorgiem dzieci! Zmarła w 1503 roku, po dwunastu latach pożycia.

Wypada jeszcze powiedzieć, iż Bogusław w roku 1493 w układzie w Pyrzycach w zamian za uchylenie lenna elektorów brandenburskich, zapewnił im sukcesję na wypadek wymarcia rodu Gryfitów. Jak wiadomo, stało się to dopiero w roku 1637, gdy zmarł bezpotomnie ostatni męski potomek Gryfitów - Bogusław XIV.

Wyprawy do Ziemi Świętej

Obiecałem czytelnikom, że o wyprawach do Ziemi Świętej naszych słupskich władców napiszę przy Bogusławie Wielkim. Pielgrzymami byli Eryk I, Warcisław VII i właśnie Bogusław X. Zdaniem niemieckiego historyka Norberta Kerskena, Warcisław VII wybrał się wraz z Warcisławem VIII Wologoskim do Palestyny, ale zachorował na Węgrzech i wrócił na Pomorze w marcu 1391 roku („Pomorze Zachodnie przez wieki”, str. 113, Wydawnictwo Zamku Książąt Pomorskich, Szczecin 1999). Następnym pielgrzymem był Eryk Pomorski, któ-

Ciekawa i słynna to postać Jan Długosz. Wybitny uczony, dyplomata, heraldyk, a przede wszystkim płodny kronikarz. Ale to nie o nim przecież historia. Wracając do Eryka II, to w zasadzie zbliżamy się powoli do końca. Pozostał on wierny koronie bo zrozumiał, iż ten potężny sędziad może być mu pomocny. W tak zwanym międzyczasie od 1464 roku zostaje księciem szczecińskim, by w 1468 roku utracić znaczne ziemie tego księstwa na rzecz Brandenburgii. Eryk II zmarł na swym zamku w Wologoszczy w 1474 roku wskutek zarazy. Miał około pięćdziesięciu lat, co było w tym czasie, można by rzec, wiekiem słusznym.

Bogusław X Wielki

Możemy teraz, bez większej zwłoki, przejść do naszego największego (obok Bogusława V) władcy, wielokrotnie już przywoływanego Bogusława X, nazywanego Wielkim. Wbrew pozorom nie łatwa to rzecz, bo choć napisano o nim wiele, to trudno bę-

mu osobnej dzielnicy, do czego nie doszło (E. Rymar: „Rodowód książąt pomorskich”, str. 383).

Jeszcze za życia ojca Eryka II współrządził Księstwem Słupskim i używał tytułu Książę Szczecina, Pomorza (Słupska) i Rugii (E. Rymar: „Rodowód książąt pomorskich”, str. 383). Tak więc rządził wspólnie z ojcem i stryjem Warcisławem X, byłym księciem szczecińskim. W jego tytularze charakterystyczne jest określenie Księstwa Słupskiego POMORZEM. Świadczy to niezbicie, iż władca Księstwa Słupskiego uważał je jako równoznaczne z pojęciem Pomorza.

Wizja zjednoczeniowa Bogusława X stała się ciałem, gdy po czterech latach panowania w Księstwie Słupskim, po śmierci stryja Warcisława X, objął Pomorze Zachodnie. Jeszcze, gdy żył Warcisław - książę wologojski, aby objąć Księstwo Szczecińskie, Bogusław winien złożyć hołd elektorowi brandenburskiemu, skądinąd nam znanemu Fryderykowi II, ale Bogusław odmówił. Za wstawiennic-



Pałac Ziemstwa Pomorskiego w Szczecinie.

ry pielgrzymkę odbył w latach 1423 - 1424. Natomiast pielgrzymka Bogusława to cała epopeja. Trwała dwa lata, a rozpoczęła się w 1497 roku od wystawienia 300-osobowego zbrojnego oddziału, aby pomóc cesarzowi Maksymilianowi I w wojnie z królem francuskim, Karolem VIII. Do wojny nie doszło, a Bogusław, po pobycie na dworze cesarskim, pojechał do Wenecji, a stamtąd wynajętym galeonem do Ziemi Świętej. Według danych spisanych w Wenecji, do Palestyny wziął ze sobą liczną świtę rycerzy i dworzan z Pomorza, a poza tym, na statku było wiele osób załogi i pozostałych pątników (razem około 300). Książę w czasie podróży zachowywał się dzielnie i, jak podają różnorodne źródła, osobiście walczył z Turkami, którzy zaatakowali galeon. Potyczkę jednak przegrał i musiał się wykupić z niewoli.

Po powrocie z Ziemi Świętej przyjął Bogusława na audiencji papież Aleksander VI z rodu Borgiów. Obdarzył księcia honorowym tytułem Rycerza - Obrońcy Grobu Pańskiego i podarował mu wspaniały miecz (później dwumetrowy!). Podróż trwała dwa lata i była świetną promocją Pomorza i jego władcy.

Bogusław był mądrym politykiem, dzielnym i śmiałym władcą. Zjednoczył na długie lata całe Pomorze. Usprawnił i zreformował administrację i gospodarkę, a w pamięci słupszczyzan zapisał się budową w 1507 roku zamku (przy oporze mieszczan). Ten największy w dziejach słupszczyzanin zmarł w 1523 roku, po półwieku panowania. Długo można by wymieniać zasługi Bogusława X Wielkiego i nic dziwnego, że dumni są z niego wszyscy dawni i obecni mieszkańcy Pomorza, Polacy i Kaszubi, jak również Niemcy, którzy bądź co bądź najdłużej panowali na Pomorzu Zachodnim.

Epilog

I tak dobiegliśmy do końca dziejów Księstwa Słupskiego. Z uwagi na brak czasu i... wiedzy ograniczyłem się do politycznych dziejów Księstwa, pomijając całą bogatą sferę kultury, sztuki, stosunków społecznych i gospodarki. Brak też w niniejszym opracowaniu wielce ciekawych dziejów licznych miast, powstawaniu wielkiej własności ziemskiej, stopniowej germanizacji Pomorza itd. itd. ...

Epilog - co oczywiste - jest nawiązaniem do posłowania z pierwszej części cyklu i jego uzupełnieniem.

Wypada zatem przypomnieć, że zarówno historycy polscy, jak i niemieccy podkreślają, że ziemia słupska najdłużej była ostoją słowiańszczyzny, a język i kultura kaszubska dzielnie dotrwały do czasów obecnych. Jeszcze w XVIII wieku w Słupsku i okolicach, a przede wszystkim na ziemi bytowskiej trwał żywioł kaszubski. Język kaszubski w Smołdzinie zlikwidowano dopiero około połowy XVIII wieku. Ramy opracowania nie pozwalają szerzej opisywać wiekopomnej roli Kaszubów w walce z germanizacją. Kaszubi byli, są i zapewne zawsze będą solą ziemi pomorskiej. Na tak długie opieranie się germanizacji ziemi słupskiej, zarówno w czasach Księstwa, jak i później, wpływ też miało położenie w sąsiedztwie ziem etnicznie polskich oraz mądra polityka władców pomorskich (Bogusława V, Eryka I, Każki Słupskiego czy Wacława VII, przede wszystkim Bogusława X) i polskich (Kazimierza III Wielkiego, Władysława Jagiełły i najbardziej - Kazimierza IV Jagiellończyka). Bezspornym wydaje się, że znaczna część władców Pomorza znała język polski, bo albo byli krewnymi królów polskich, albo na ich dworze byli wychowywani. Najszybciej ulegali niemieczeniu możni feudalowie i mieszcianie, zresztą głównie wywodzący się z narodu dolnoniemieckiego.

Ciekawym faktem jest, że znane rody junkrów pruskich, takie jak: Kleist, Bonin, Grumbkow, Puttkammer

i inne podkreślały, że są pochodzenia pomorskiego i tym samym słowiańskiego (kaszubskiego). Również i heraldyka kaszubska wykazuje wiele podobieństw, a czasem tożsamości z heraldyką polską. Można więc bez obawy o pomyłkę powtórzyć za Benedyktem Zientarą: „Tak narastał proces formowania się odrębnej narodowości pomorskiej, dolnoniemieckiej z języka, ale jak najściślej związanej z miejscowymi słowiańskimi tradycjami” („Historia Pomorza”, str. 326). Do tych słowiańskich tradycji zaliczyć należy co najmniej piękny folklor kaszubski i jego język.

Można by jeszcze długo pisać o jakże ciekawych dziejach Pomorza Słupskiego w czasach naszego Księstwa, ale czas kończyć, mając nadzieję, że w bieżącym roku godnie uczymy 650-lecie Księstwa Słupskiego.

Maciej Kobylński
Słupsk/ Łupawa

PS. Aby utrwalić daty życia i panowania książąt słupskich, zamieszczam tabelę opartą o „Rodowód książąt pomorskich” prof. Edwarda Rymara.

Książęta słupscy z pomorskiego rodu Gryfitów Władcy Księstwa Słupskiego w latach 1368 - 1478

Lp.	Władca	Daty urodzin i śmierci	Lata panowania
1	Bogusław V Wielki	*1317 - †1374	1368 - 1374
2	Kazimierz IV „Każko”	*1351 - †1377	1372(4) - 1377
3	Wacław VII	*1362(4) - †1395	1377 - 1395
4	Bogusław VIII	*1363(7) - †1418	1395 - 1418
5	Barnim V	*1369 - †1408	1395 - 1402
6	Bogusław IX	*1405(6) - †1446	1418 - 1446
7	Maria Mazowiecka	*1408(19) - †1454	1446 - 1449
8	Eryk I	*1382 - †1459	1449 - 1459
9	Eryk II	*1418(25) - †1474	1459 - 1474
10	Bogusław X Wielki	*1454 - †1523	1474 - 1478



Zamek Książąt Pomorskich w Szczecinku (skrzydło południowe).

Fot. SAPIK / wikipedia.org

Prawa konsumenta – wydanie towaru

W ostatnim czasie do biura rzecznika wpływa wiele zapytań od konsumentów w sprawie interpretacji przepisów dotyczących zakupów w sieci. Pan Michał chciał uzyskać informację: czy w sytuacji opóźnienia sprzedawcy w wydaniu towaru, ma prawo od razu odstąpić od umowy, czy musi wyznaczyć dodatkowy termin sprzedawcy i dopiero, po tym terminie będzie mógł odstąpić od umowy?

Z kolei Pani Olimpia chciała się dowiedzieć: co może uczynić, gdy zamówiony przez nią produkt został zakupiony, ale okazało się, że nie ma go w magazynie? Czy sprzedawca może odmówić sprzedaży i czy w takim przypadku może ona odstąpić od umowy?



Zaznaczam, że jeżeli zawarliśmy umowę z przedsiębiorcą, to w takich transakcjach sprzedawca ma obowiązek niezwłocznie wydać nam towar, nie później niż trzydzieści dni od dnia zawarcia umowy, chyba że w umowie strony uzgodniły inaczej. Zatem, w przypadku Pana Michała ma zastosowanie art. 543 § 1 Kodeksu cywilnego, który wskazuje, że jako konsumenci możemy od razu odstąpić od umowy bez konieczności wyznaczania dodatkowego terminu na spełnienie świadczenia.

Powyższy przepis wskazuje wyraźnie, że sprzedawca ma obowiązek niezwłocznego wydania towaru, czyli bez zbędnej zwłoki. Ustawodawca

doprecyzował również, że ma to nastąpić nie później niż 30 dni od dnia zawarcia umowy. Oczywiście, nic nie stoi na przeszkodzie, aby konsument i sprzedawca uzgodnili indywidualnie termin dostarczenia towaru. W takim przypadku termin ten może być nawet dłuższy niż 30 dni lub krótszy. Termin 30-dniowy ma zastosowanie w przypadku, gdy strony umowy nie wskazały terminu spełnienia świadczenia.

Odnosnie kwestii poruszonych przez Panią Olimpię wyjaśniam, że również ma zastosowanie wyżej wymieniony przepis Kodeksu cywilnego art. 543 § 1. Sprzedawca, niezależnie od tego, czy towar posiada na stanie, czy też nie, ma obowiązek zrealizowania

wania umowy według zasad ogólnych - a więc powinien wydać towar kupującemu. Dodam, że sprzedawca dysponuje 30-dniowym terminem do wydania rzeczy kupującemu. Zatem w większości przypadków ma sporo czasu, aby zrealizować zamówienie. Ale może zrobić to później z tzw. opóźnieniem. Przypominam, że w takim przypadku sprzedawca powinien poinformować konsumenta o tym, że nie posiada towaru na stanie, ale może go dostarczyć w terminie późniejszym. Jeżeli nas spotka taka sytuacja, pamiętajmy, że to konsument decyduje, czy jednak czeka na realizację zamówienia w późniejszym terminie, czy jednak podejmuje decyzję o odstąpieniu od umowy.

Może się również zdarzyć, że dany towar, który nas interesował nie jest dostępny u innych sprzedawców, a wybrana przez nas oferta jest tak atrakcyjna, że nie będziemy chcieli odstąpić od umowy, żądając jej wykonania. W takim przypadku sprzedawca powinien uczynić wszystko, aby z umowy się wywiązać. Jednak może się okazać, że sprzedawca nie ma realnej możliwości wywiązania się z umowy i dostarczenia w danej cenie towaru, gdyż nie jest już dostępny. Wtedy mamy do czynienia z świadczeniem niemożliwym. Zatem, jeżeli sprzedawca zwróci nam wszystkie pieniądze, powstaje po stronie konsumenta roszczenie odszkodowawcze w związku z niedochowaniem należytej staranności przy realizacji umowy. Z reguły sprzedawcy na taką okoliczność dysponują regulaminem umieszczonym na stronie internetowej, w którym wskazują, że w razie problemów z dostępnością towaru, nie ponoszą odpowiedzialności, definitywnie ograniczając tym samym nasze prawa. Poniżej zamieszczam przykładową klauzulę, która została wpisana do rejestru klauzul niedozwolonych pod numerem 4170 z 2013 r.: „W przypadku wystąpienia okoliczności niemożliwiających całkowite lub czasowo realizację złożonego zamówienia, firma zastrzega sobie prawo do wstrzymania realizacji zamówienia (...)”.

Zatem, jeżeli nie będziemy wiedzieli, jakie mamy prawa, jak poprawnie napisać reklamację, zawsze można uzyskać bezpłatną pomoc u Powiatowego Rzecznika Konsumentów.

Marek Kurowski
Powiatowy Rzecznik Konsumentów



HALOWY TURNIEJ PIŁKI NOŻNEJ „WIELKANOC - KOBYLNICIA 2018”

KOBYLNICIA, MARZEC 2018

WIEGA BABKI

